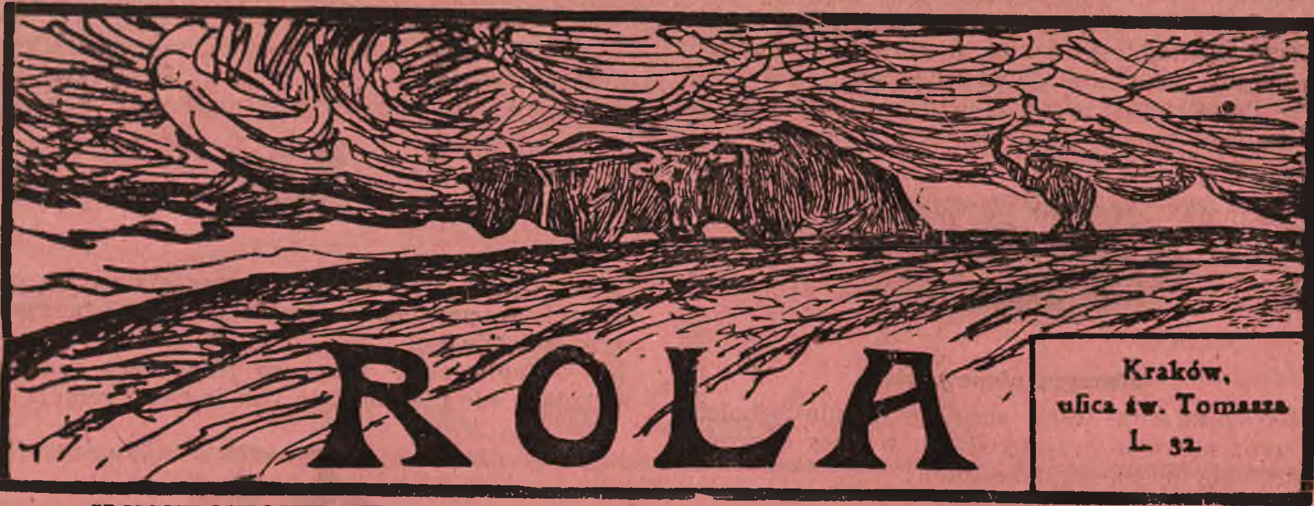
Numer 36 Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 8 Września 1929



ROLA

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Sędzia: Więc przyznajecie, Wojciechu, że uderzyliście Bartłomieja kłonicą w głowę! Co macie do przytoczenia jako okoliczność łagodzącą?

— Prześwietny sądzie, dałem mu najpierw z tej i z tej strony w gębę na przestrogę!



Męcząca niepewność.

Gospodarz (rano przy wstawaniu): Łoloboga, teroz nie wim, czy to siwek w nocy doprowdy zdech — czy mi się też jeno śniło.



Sumienny.

Starszy pan w przejeździe przez Kraków woła na dworc uz wagonu jakiegoś chłopca i każe sobie przynieść dwie parki sławnych krakowskich kiełbasek, z których jedną ma zjeść za fatygę. Pan czeka i czeka, a chłopca z kiełbaskami nie widać. W chwili, gdy pociąg rusza, wpada chłopak zdyszany na peron, pracując kurczowo szczękami i zwraca panu 25 groszy ze słowami: Była właśnie ostatnia parka kiełbasek i tę zjadłem, a resztę pieniędzy przynoszę z powrotem!

Oj, to to!

Mąż: wiesz, moja duszyczko, że ja chciałbym ci nieba przychylić!

Żona: Oj, to to! A samemu zostać na ziemi?...

— Upiłeś się znowu? Taczasz się na wszystkie strony! A przecież zapisałeś się do Towarzystwa wstrzemięźliwości.

— Zapisałem... Płacę co pierwszego regularnie wkładki... nic nie pomaga... Co ja mam robić?!

Coby wolała.

— Moje Salcze, cobyś ty wolała: wróbel w ręku czy gołąbek na dachu?

— Ty potrzebujesz wiedżecz, Izydor, co ja wolę pieczone giensz!

Głupie miejsce.

Chłop (do doktora, który mu opatruje głowę rozbitą przez konia):

— Że też ta bestja musiała mnie właśnie w takie głupie miejsce kopnąć!

Numer 36. Rok XII. Kraków, dnia 8 Września 1929

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli“ 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

Zniechęcenie.

Życie człowieka składa się z chwil jasnych, jak słońce, i z chwil bolesnych, krwawiących serce, z chwil ciemnych, jak noc. Jeden człowiek ma więcej dni radosnych, inny więcej chwil bolesnych. Jeden całe życie opływa w dostatki, innego znowu całe życie trapią niepowodzenia i nędza.

Człowiek, którego wieniec życia składa się z róż samych, nie wie, co to znaczy boleść, co to znaczy walka z przeciwnościami i przechodzi przez życie, nie poznawszy go do głębi, nie poznawszy jego prawdziwej wartości, nie wiedząc, co ono kryje na swem dnie.

Większość jednak ludzi przeznaczona jest do walki o byt, do walki z przeciwnościami. Życie tych ludzi, to jedno pasmo cierpień i niepowodzeń, to wieniec z ciernia uwity, a gdy się nawet trafi czasem dzień jaśniejszy, dzień słoneczny, dzień szczęścia i wesela, ginie w morzu cierpienia i łez, często nie zauważony, niby róża wpleciona w gęstwę kolców cierniowych. Na kogo spadną takie cierpienia i niepowodzenia życiowe i znajdą go nieprzygotowanym na ich przyjęcie, łamią go zwykle, pochylając go ku ziemi, czynią go niezdolnym do dalszej walki, zniechęcając go do świata, do ludzi, ba do życia nawet samego.

On żyje, ale życie jego to sen, sen bolesny. I taki człowiek także do głębi życia nie pozna. Bowiem, aby poznać życie aż do dna, trzeba umieć i chcieć oń walczyć, trzeba walczyć o byt, o przyszłość, trzeba przebojem z bronią w ręku w ciągłej walce, z zaciśniętymi zębami, z zaciętością a zarazem z uśmiechem na ustach, przejść przez życie, a dopiero wtedy wyrobimy sobie hart ducha, silną wolę, stały, niezłomny charakter, dopiero wtedy poznamy, co kryje życie na swem dnie, poznamy jego prawdziwą wartość, a zarazem znikomość rzeczy doczesnych.

Wtedy myśl nasza wzniesie się do tego Miłosierdzia najwyższego, do tej Dobroci nieskończonej, a usta szeptać będą hymn uwielbienia i dziękczynienia zarazem.

I na nas spadają często nieszczęścia i niepowodzenia i my często narzekamy, zniechęcamy się do wszystkiego, zapominając, że bez woli Bożej nic się stać nie może i cokolwiek nas spotka, z woli Jego jest.

Gdy więc życie zażąda i od nas ofiary, gdy spadnie i na nas jakiś cios niespodziewany, nie zniechęcajmy się, lecz cios ten niech nas jeszcze zapali, pobudzi do czynu, pamiętając, że zniechęcenie to droga do samobójstwa, a samobójstwo prowadzi szeroką drogą do krainy wiecznej ciemności, do królestwa szatana — piekieł. Tak! nie zniechęcajmy się, lecz z modlitwą na ustach walczmy z przeciwnościami, bo taka walka uszlachetni nas, podniesie na duchu, czyniąc nas temsamem zdolnymi do dalszej walki.

Do takiej walki wzywa nas poetka J. Wilkowska w wierszu p. t. „Zwyciężaj!“

Zwyciężaj zawsze, a w życiu całem! Idź! za promiennym swym ideałem. Walcz kochaj cierp i wierz! Choć ci pot skropli zmęczone czoło, ty siew rozrzucaj serca wokoło, ciepło i światło szerz.

Niech cię cierpienie nigdy nie złamie! Wytrwale podnoś kujące ramię, co bije w czynu stal! I niech cię nigdy wstyd nie przytłoczy, że zmarnowałeś swój czas roboczy, niech cię nie gnębi żal!!

Kiedy zwyciężysz i z jasną duszą dojdziesz do wiedzy wrót, wszystkie zapory napewno skruszą: serce i wielki trud!...

I pójdziesz w życiu do kraju swego, swym braciom szczęście kuć, kiedy potrafisz od maleńkiego, pracować, cierpieć, czuć.

Więc się postaraj zdobywać teraz duszy i serca hart, i siebie umiej zwyciężać nieraz; wtenczas coś będziesz wart!

Frączek Tadeusz.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

I.

Po prawej stronie Wisły, dwie godziny drogi od Wawelu, w górę rzeki, na wyniosłem wzgórzu, otoczona od południa i północy niedostępnemi moczarami, od zachodu zaś podmywanym wartkim strumieniem Wisły, stała prastara siedziba Starżów, władyków Chrobackiej ziemicy położonej po tej stronie Wisły.

Ogromne zabudowania z modrzewia i dębu, opasywał niekształtny czworobok wysokiego wału wybudowanego z kamienia przesypanego ziemią, a na nim tkwił gęsty częstokół, by chronić mieszkańców Tynu od niespodziewanego nieprzyjaciela i dzikiego zwierza.

U bramy z ciężkich dębowych brusów, otwieranej tylko wtedy, jak ktoś wchodził lub wychodził z Tynu, czuwała dniem i nocą, uzbrojona w łuki i oszczepy, bronzowe siekiery, lub rzadko będące jeszcze w użyciu żelazne ciężkie obosieczne miecze straż, która swe rysie spojrzenia słała śladem grzbietu pagórka, którem wydeptana świeciła swą golizną gliny i kamienia, jedyna droga ginąca w ciemnym borze odwiecznego lasu.

Ród gęsto rozsiadły w okolicy, po wydmach słobodami i mozolnie wykarczowanych siołach wzdłuż Wisły i jej dopływach patrjarchalnym zwyczajem słowiańskim wybudowane miał tu spichrze do zsypli zboża, magazyny żywności, składy futer na odzież skarbiec klejnotów lub drogich sprzętów oraz mieszkanie naczelnika rodu.

Tutaj schodzili się na radę starsi, tu zapadały uchwały o zakładaniu nowych siedzib i stąd wyjeżdżała zaprzężona w białego i czarnego wołu co roku socha, do oborania nowego sioła, czyli „siała“ to jest miejsca obranego pod uprawę rzepy i konopi. Tutaj wreszcie kryli swój dobytek przed najazdem wroga i stąd bronili swego mienia i życia z za silnej palisady.

Otoczeni od południa i zachodu niedostępną puszczą, od północy zaś szeroko rozlaną i nie łatwą do przebycia Wisłą, niepamiętali też młodzi, by wróg nawiedzał ich strony i tylko starzy czasem wspominali te czasy, kiedy trzeba było kryć się za palisady Tynu i stamtąd gromić niegodnego napastnika.

Naprzeciw nich za Wisłą rozsiadł się gęsto ród Jaksów, wyżej Toporów, a niżej Porajów i Bogorji, którzy jako że z jednego pnia swój ród wiedli, mieli swgo władykę na grodzie we Wiślicy, z któremi Starżowie w wielkiej żyli przyjaźni, dając im często na żony swe dziewki, lub też dla siebie od nich przywozili.

Nie różniąc się mową ani zwyczajami, a mając wspólne wierzenia i cele, nie mieli też potrzeby wrogo przeciw sobie występować, to też wśród pokoju i zgody dobrobyt po osadach rozwijał się coraz bardziej, a po wydmach i łysych górach wyrastały gęsto osiedla a sioła coraz bardziej wciskały się w odwieczną puszczę i rok po roku wydzierały przyrodzie urodzajną ziemię pod siew zboża, by służyć pracowitemu plemieniu.

Co roku latem kiedy soki najbardziej krążyły w drzewie zbierali się dorośli mężowie pod wodzą starszych rodu, i uzbrojeni w siekiery, oszczepy i łuki szli w puszczę, aby przedtem już przez naczelnika rodu oborane sochą miejsce przysposobić pod nowe sioło. Obrąbywali oni konary drzew, łupili korę z odwiecznych pni, wycinali krzewy i wyczekawszy aż to wszystko uschnie, zapalali, aby tym sposobem oczyścić pole pod nową uprawę. Oczyszczone pole w ten sposób ogradzali żerdziami, aby zasiewy ustrzec od dzikiego zwierza, a wewnątrz budowali dom w którym osadzali jednego z pomiędzy siebie, aby z rodziną obrabiał pole i pilnował plonu.

Tylko to miejsce, którego granice oznaczyła starszyzna „zagonem“ to znaczy, zostało oborane sochą przez naczelnika rodu i starszych rodzin, koniecznie socha ciągniona przez wołu czarnego i białego była w użyciu mieszkańców tam osadzonych przez starszyznę, a reszta za „zagonem“ była „cudo“ czyli cudzą.

Tam też tylko były uprawne pola pojedynczych rodzin, zasiane żytem, konopiami lub rzepą z których część oddawano do wspólnego użytku do Tynu. Grunt jednak był własnością całego rodu i tylko uprawiany był przez rodzinę tam osadzoną, ponieważ osobistej własności nie znano i tylko, odzież, sprzęty i oręż mógł być dziedziczny.

W miarę, jak sioło rozrastało się w osadę, przybywało więcej gospodarstw, starszyzna przydawała takiej osadzie jeszcze miejsce na „roki“, gdzie odbywały się sądy na winowajców, obok zaś uroczysko poświęcone bogom, i zgliszcza, gdzie palono i grzebano umarłych lub tracono przestępców.

Taka osada czy gmina była dla siebie zamkniętem społeczeństwem pod przewodnictwem starców, którzy posiadali tradycje rodowe, sekreta rolnicze i tajemnice obrzędów religijnych, zresztą niepodlegali nikomu.

Władyka na Tynie czyli Tyńcu jak go później nazwano, był tylko tytularnem ich władcą coś jakby widomą głową całego plemienia, a który dopiero w razie orężnej potrzeby brał w ręce kierownictwo obrony, zresztą nie mieszał się wcale do rządów i nie pobierał od mieszkańców żadnych danin, sam zaś obowiązany był czuwać nad wspólnym dobytkiem złożonem jako „narzaz“ i „osep“ na wypadek nieurodzaju, wylewu wody lub napadu nieprzyjaciela, w spichrzu na jego grodzie.

Cześć religijna mieszkańców okazywana była w całopalnych ofiarach i wyrażana była w obrzędach, praktykach i gusłach.

Wyobrażano sobie tylko bożków, lecz nie tworzono bałwanów, ani też nie budowano dla nich świątyń.

Babie i łyse góry, a na równinach święte bory i gaje służyły na przybytek bóstw. Kamień olbrzym, lub pień drewniany okolony małemi kamieniami, lub ogrodzony palisadą, zastępował ołtarze i tu składano „objatę“, lub sprawiano inne obrzędy religijne.

Bory i niedostępne moczary zapełnione były wyobraźni ludu boginkami, strzygami i upiorami, a nie rzadko któregoś z przodków pokutował duch we wilku lub innym drapieżniku, który rozzuchwalony wyrządzał nieraz dotkliwe szkody osadzie, ponieważ poznany w nim przodek ochraniał go przed zagładą.

Pod progiem każdego domostwa mieszkały najważniejsze bóstwa słowiańskie, jak: Żywie i Marzanna, a które wciąż toczyły ze sobą bój, bo Żywie chciało dla rodziny robić wszystko co dobre, a Marzanna znowu źle.

Na każdą noc umyślnie do tego sporządzonych naczyniach stawiano dla nich pożywienie, a zwłaszcza mleko i miód, a żadnemu z mieszkańców domowstwa nie wolno było stanąć lub siąść na progu, albo używać go do jakichkolwiek robót.

Zwabione, przez stawianie na każdą noc mleka, węże zaskrońce, które zwydrzone łatwo dostępnem łakociem gromadnie osiadły każde domostwo, uważano za istoty bądź to miłe bogom, bądź też, za przemienione w ich postać jakieś opiekuńcze bóstwo. Żaden też za nic w świecie nie uśmierciłby płaza, bojąc się, by przez to nie ściągnąć na siebie strasznego nieszczęścia, którego pewnie nie skąpiłoby mu bóstwo, zamieszkałe w ciele wstrętnego gada.

II.

Było to wtedy, kiedy bronz zaczęło wypierać żelazo, a dżdżysta i chłodna wiosna ustąpiła miejsca skwarnemu latu.

Krajem koryta Wisły, omijając silniejsze prądy wody, na tratwie, zbitej z grubych okrąglaków drzewa, płynęło pod wodę sześciu młodych ludzi.

Ubrani w grube konopne koszule ,rozwarte na szerokiej piersi, opasani szerokimi skórzanymi pasami, w łapciach z lipowego łyka na nogach, i czapkach spiczastych, twardych z licho wyprawionej skóry tura na głowie, zmęczeni złożyli krótkie kożuszki baranie na środek tratwy, a na nich ułożyli skarb nielada złożony z kilku krusz soli.

Mając przeciw sobie prąd wody, płynęli wolno, opierając się długiemi żerdziami o piaszczyste dno rzeki.

Od czasu do czasu, któryś stawał, żerdź opuszczał wolno i patrzał trwożliwie, czy też z zarośla na brzegu nie wypatruje ich jakie ukryte oko, lub z góry nie płynie ktoś, co by łakomie po powierzony im skarb wyciągnął łapę.

Kołpaki nasunęli na tył głowy przytrzymując nimi długie do ramion sięgające, wypłowiałe jak len od słońca czupryny, a ocierając co chwila rękawem parcianki zwilżone potem czoło, parli co sił na żerdzie, przyczem starali się omijać główny prąd wody i o ile możności ukryć się w sitowiu lub łozinie rosnącej obficie po urwiskach i odsypiskach piaskowych wzdłuż brzegów dziko rozlanej Wisły.

Słońce rzucało swe promienie prosto na ich głowy i prażyło okropnie. Wiatr pociągał od południa, ale opierał się o wysokie wierzchołki drzew, majestatycznie szumiącego boru, lecz spracowanych nie chłodziło wcale.

Spłoszone ze swych żerowisk ptactwo wodne stadami ulatywało w powietrze, a zwierz napotkany u wodopoju stawał jakby zdziwiony nieznanem mu widokiem, wkońcu truchtem bez pośpiechu nikł w borze i tylko trzask gałęzi i zdeptana trawa znaczyły ślad zbiega.

— Jeszcze nas zdradzą! — rzekł jeden. Przyczem odłożył żerdź, ujął za łuk, nałożył pierzastą strzałę na cięciwę i zmierzył.

Jelito w cięciwie warknęło, strzała świsła w powietrzu i nagle coś chlapnęło w wodę obok tratwy.

— Będzie dziadowi na wieczerzę! — rzekł jakby na usprawiedliwienie, a odłożywszy łuk, żerdzią sięgnął po dużego kaczora przeszytego strzałą, który w ostatnich przedśmiertelnych drgawkach rzucał się na powierzchni wody.

Naraz popatrzał w dal i jakby zamarł nagle.

Żerdź opuścił pozwalając ptakowi spłynąć za wodą, a sam przyłożył dłoń do czoła, by od blasku słońca ochronić oczy i wytężonem wzrokiem patrzył w dół rzeki.

— Jakieś dziwne postacie płyną spiesznie za nami! — rzekł po chwili do swych towarzyszy.

— Zda mi się coś niezwykłego, ponieważ niezważają na prąd wody, lecz środkiem śmiało płyną!

Opuścili ręce i wszyscy swe sokole spojrzenia skierowali we wskazanym kierunku.

— Pościg! — wyszeptali razem i bladzi spojrzeli na skarb złożony na tratwie.

Nagle ujęli żerdzie, i jakby jedną myślą tknięci skręcili ku brzegu.

Tu zachaczyli spiesznie o łozinę tratew, żerdzie wyrzucili na brzeg, a sami zabrawszy każdy jeden krusz soli, odzienia i broń, zwinnie jak sarny wyskoczyli na brzeg i chyłkiem wślizgując się pomiędzy krzewy i pnącza znikli w niedostępnym borze.

Ubiegli kawałek w głąb, opatrzyli bezpieczne miejsce, złożyli sól na kupę, przykryli swemi krótkiemi kożuszkami, przysypali opadłem liściem, a zatarłszy ślady, cichutko każdy inną drogą, czołgając się na czworakach jak zwierzęta poczęli się skradać z powrotem nad Wisłę, aby z zasadzki opatrzeć wyczutego wroga.

Za chwilę nieporuszywszy nawet źdźbłem trawy, leżeli wszyscy nad brzegiem rzeki, każdy w innem miejscu wytężając pomiędzy liście drzew swe rysie spojrzenia.

Po drugiej stronie Wisły dość wysokie wzgórze porośnięte na szczycie olbrzymiemi dębami i bukami lśniło nagą skałą swego zbocza i stromo staczało się ku wodzie, gdzie świeże piaszczyste jasną plamą świeciło namulisko nie pokryte żadną roślinnością.

Z boku pagórka, pomiędzy liście leszczyny i białego bzu czerniała czeluść pieczary, znanej im dobrze, w której mieszkał Bojan Jaksa z córką, jak boginka wymarzoną Salwidą, a niżej za wąskim pasem lasu, leżało sioło z kilku złożone ziemianek i niezdarnie uplecionych z łoziny chat, wylepionych gliną i białem pobielone wapnem, skąd w tej chwili dochodził bek owiec i szczekanie psa.

Za chwilę usłyszeli plusk wody.

Popatrzeli uważniej na rzekę i osłupieli z podziwu.

Przed nimi ukazały się trzy łodzie.

Zbudowane kunsztownie z tarcic, jakich jeszcze w życiu nigdy nie widzieli. A na każdej z nich po czterech mężów zbrojnych, z lekkiem wiosłem w rękach.

Ubrani w obcisłe skórzane włosem na wierzch stroje, opasani szerokimi pasami za którymi tkwiły w szerokich pochwach długie pod ramię sięgające miecze. Na głowach wyprawne z rogami łby tura, a na piersiach błyszczące do słońca kirysy.

Oniemieli. Rozszerzonemi źrenicami patrzeli na te dziwne nieznane im postacie, na straszne miecze u ich boków, przedziwne łodzie, na głowach sterczące rogi i przecierali w zdumieniu oczy, czy zaś ich wzrok nie myli.

Odległość nie pozwalała im rozróżnić twarzy, ale po garbatych nosach, wypukłych czołach i rosłych postaciach, poznali, że nie swoji to przybysze, a instynkt jakowyś nakazał im ostrożność.

Nagle powietrze przeszył przeraźliwy głos sojki.

Zakołysały się zarośla i za chwilę wszyscy sześciu zeszli się obok ukrytego skarbu.

— Starża! — rzekł jeden znać wiekiem najstarszy.

— Starża! — odpowiedzieli inni i ujàwszy krusze na ramiona, jeden za drugim schyleni szukając głową uzbrojoną twardą spiczastą czapką wolniejszego miejsca w zaroślach i pnączach, zaczęli się ostrożnie posuwać w górę rzeki.

Po pewnym czasie, spinając się po stromych urwiskach, to znowu brodząc w moczarach, zmachani srodze, dostali się na wolniejsze miejsce.

Drzewa coraz bardziej rzedły, miejsc wydeptanych stopą ludzką spotykali więcej, aż wreszcie wyszli na pola ogrodzone żerdziami, zasianych żytem, konopiami, rzepą i bulwami, pomiędzy których łodygi skutecznie kryli się ze swym skarbem.

Wreszcie minęli uprawne grunty, spiesznie przebyli piaszczyste gołe święte zgliszcza, wkońcu wąskim grzbietem pagórka dostali się pod bramę Tynu, w którą waląc kolanami i pięściami, starali się zwrócić uwagę odźwiernego.

Przez szparę niedokładnie spasowanych brusów u dźwierzy pokazało się jakieś oko, wreszcie przejmujący pomruk, poczem zgrzypły drewniane zasuwy i skrzydła bramy rozwarły się z łoskotem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



W rękach ciemnoty.

Obrazek z życia Wołynia.

Była późna godzina letniego wieczora. Spracowani przez cały dzień na polach mieszkańcy wsi M., Krzemienieckiego powiatu, spoczywali kamiennym snem strudzonych ludzi i we wsi panowała martwa cisza, czasami przerywana ujadaniem psów i gwizdkami czuwającej warty.

Wtem wśród błogiej ciszy gwiazdzistej nocy rażącym dysonansem rozległy się przeciągłe okrzyki:

— War-ta! Łapaj złodzieja!

Wnet pierzchła błoga, kojąca zmęczonych ludzi cisza... Zajadle zaszczekały psy i przy migocącem świetle gwiazd zaczerniałe sylwetki goniących za kimś ludzi.

— Trzymaj go! Łapaj go !— rozlegały się krzyki.

Krzyki te obudziły wieśniaków i w ciemnych oknach szarzejących chat zamigotały światełka. Niebawem niemal cała wieś była już obudzona i w niej zapanował hałas jakby na jakiem gminnem zebraniu.

— Co to się dzieje? Kto u kogo co ukradł? — sypały się pytania.

— Danyło u swego brata Demjana rozebrał strzechę i ukradł wór słoniny i dwa kłębki przędziwa! — opowiadał jakiś wieśniak.

I byłoby wszystko przepadło, ale Demjan obudził się i usłyszawszy szmer na poddaszu, spłoszył złodzieja, w którym poznał własnego brata.

— A nechaj-że ty shorysz! — po wołyńsku klęli wieśniacy. — Dobry brat, niema co mówić. Takiego brata warto zabić!

Wtem zupełnie blizko rozległy się krzyki:

— Bij go! Lepiej! Jeszcze, jeszcze! A lepiej!

— Złapali! — ucieszyła się gromada wieśniaków.

Ktoś pośpiesznie wyniósł lampę i przy jej świetle wieśniacy ujrzeli okrwawionego, bardzo nędznego chłopa.

— Przebaczcie mi, dobrzy ludzie! — płacząc, błagał nędzarz: — Przysięgam na Boga, że głód zmusił mnie do kradzieży. Przecie wiecie, że nigdy jeszcze nikomu nic nie ukradłem... Zmiłujcie się, w chacie nie mam nawet jednego kartofla!

— Czemuż nie poprosiłeś brata, aby cię pomógł? — surowo zapytał któryś z wieśniaków.

— Prosiłem, ale on wypędził mię...

— Jemu, widzicie, z głodu słoniny się zachciało! — drwiąco zauważył obecny przy tem brat złodzieja.

— Bracie, zmiłuj się! — rzucając się do nóg bratu, zajęczał nędzarz.

— Co tam teraz z nim gadać, — poradził jeden z wieśniaków. — Zamknijmy go do piwnicy, a jutro, korzysając z niedzielnego wypoczynku, będziemy mieli czas rozprawić się z nim!

Usłuchano tej rady. Wkrótce we wsi znowu zapanowała niczem niezamącona cisza, tylko po chatach długo jeszcze gwarzyli wieśniacy, rozprawiając o wypadku.

A nazajutrz odbył się sąd, na którym uradzono przywiązać worek ze słoniną i kłęby przędziwa na plecy złodziejowi i tak oprowadzić go po całej wsi.

Wyrok spełniono.

— Patrzcie, ludzie, oto ten złodzieisko ukradł u rodzonego brata słoninę i przędziwo! — wołali prowadzący złodzieja wieśniacy.

— Hańba ci, Danyło, że stałeś się złodziejem! — mówili idący tłumnie do cerkwi wieśniacy. Inni zaś nie ograniczali się tylko słowem, ale pięściami i kopaniem nóg wyrażali swój gniew.

— Bijcie go! Niech wie, jak to kraść! — dodawali animuszu prowadzący złodzieja wieśniacy, a więc nie żałowano bolesnych do okrucieństwa uderzeń...

Nędzny i okropny był widok Danyła.

Bezlitościwie sędziowie porwali w strzępy na nim łachmany i nieszczęśliwiec świecił nagiem ciałem. Chuda, okropnie zniszczona głodem i biedą twarz była cała we krwi i tylko oczy nie wzbudzały litości, bo w nich palił się ogień strasznej, dzikiej nienawiści ku swoim dręczycielom.

— Oddajcie mnie w ręce prawnej władzy! — błagał długo Danyło. — Niech władza osądzi mnie jak najsurowiej, tylko nie dręczcie mię!

Napróżno były błagania.

— Nie mamy czasu iść z tobą do miasta na posterunek policji... A zresztą — u nas ukradłeś, my ciebie sądzimy! — odpowiadali wieśniacy.

Kiedy go przyprowadzili przed jego ubogą chacinę, z niej z gromkim krzykiem rozpaczy wybiegła jego żona:

— Oj, Danyło, co oni z tobą robią?!...

— Nic to, Hanka... niech się cieszą! — ponuro odpowiedział Danyło.

Niektórym z obecnych przy tem zimno zrobiło się od tych słów, tyle groźby zawierały one.

— Och, zapłaci on kiedyś wam za to! — zauważył jakiś siwy starzec. Ale naprożno, były upominania. Pijana radością zemsty gromada wieśniaków nie pamiętała o niczem i dalej bestwiła się nad swą nieszczęsną ofiarą.

Bóg tylko jeden wie, czemby się zakończyła ta dzika uciecha ciemnoty, gdyby wtem nie zjawił się przedstawiciel władzy.

— O, dzięki Ci, Boże — radośnie wykrząknął złodziej.

Jak noc przed wschodzącem słońcem, pierzchła spłoszona gromada wieśniaków i nieszczęśliwcem zajął się policjant...

Jan Mazurkiewicz.

SKĄPIEC.



Jedną z najbrzydszych wad ludzkich na świecie jest skąpstwo. Skąpiec nie doje, nie ubierze się porządnie, nie zabawi się, grosza biednemu nie da, ale wszystko, co zarobi, gromadzi bezużytecznie i drży, aby skarbów jego nikt mu nie nadwyrężył. Boi się w dzień, boi w nocy, aby jakiś rzezimieszek nie podkradł się do jego mienia i nie uszczuplił mu go, lub całkiem nie zabrał.

Takiego skąpca widzimy na naszym obrazku. W jednej ręce trzyma woreczek, napełniony drogocennym metalem, drugą zgarnia rozsypane na stole monety, a równocześnie rozgląda się na wszystkie strony, czy aby kto nie podpatruje tej jego czynności, by potem podejść potajemnie i tego umiłowanego bogactwa go nie pozbawić.

Skąpiec, choć częstokroć jest człowiekiem bogatym, pędzi żywot w nędzy, a bywają wypadki, że skąpcy na nagromadzonem złocie z nędzy umierają.

Nie należy jednak skąpstwa porównywać z oszczędnością, bo gdy skąpstwo jest jedną z największych wad człowieka, to oszczędność jest jego zaletą. Oszczędny nie wyrzuca nigdy nadarmo pieniędzy, ale tam, gdzie tego potrzeba, nie żałuje ich ani dla siebie, ani dla bliźnich. Oby było jak najwięcej ludzi oszczędnych na świecie, a natomiast niechby skąpcy znikli zeń zupełnie.

Co to jest?..

Co to jest świat?

To puszcza, w której człowiek musi sobie dopiero drogę wyrębywać, aby mógł przez nią iść. To miejsce popisu biedy ludzkiej. To teatr, a zależnie od tego, jaką rolę człowiek odegra w komedji swego życia, jest tragedją lub komedją.

Co to jest przyjaźń?

Przyjaźń, to szlachetne uczucie, uprzyjemniające życie. Jedno z ogniw, łączących dusze ludzkie. To jest coś takiego, jak kapusta z grochem. To droga, do podstawienia komuś „stołka".

Jakich lubisz przyjaciół?

Bezinteresownych i szczerych. „Dawniej pośród przyjaciół, psy zająca zjadły". W każdym razie nie dumnych z głupoty.

Co to jest mężczyzna?

To lew. Niewolnik i pan. Ten, któremu się zdaje, że rządzi światem, a tymczasem rządzą nim te słabe istoty... kobiety.

Czem najbardziej ujmie mężczyzna kobietę?

Głupiemi komplimentami. Inteligencją, szczerością i otwartością. Najbardziej... rękami.

Co to jest kobieta?

Kobieta, to nieodgadniona zagadka, a czasem „animal varium" (według Byrona). To przeważnie nieszczęśliwa istota. To uwodzicielka serc męskich. Kobieta, to karta papierowa, — anioł pisze z jednej strony, djabeł z drugiej. Papier przebija, słowa się mieszają i robi się z tego bigosik, którego nie można ani przeczytać, ani strawić.

Co najbardziej zdobi kobietę?

Widocznie sukienka, bo o nią się najwięcej troszczą same kobiety. W każdym razie nie fryzurka „a la garconne", ani pończoszki „fiel decosse", ani sukienka wyżej kolan, ani wyszminkowana i wyróżowiona buzia tylko skromność i prawość kobiety-matki.

Co to jest miłość?

To najstarsze i najsilniejsze prawo natury, które potrafi wszystko złamać... któremu, gdy przyjdzie, oprzeć się nikt nie zdoła. To jest taki rów, co jak wpadniesz, to „bądź zdrów".

Czem objawia się miłość?

Poświęceniem się bez granic.

Co to jest szczęście?

Szczęście ludzkie jest podobne do jednego kwiatu, zwanego „żeńską stałością". Gdy dmuchniesz w niego, znika jak oczne widzenie.

Co przynosi największe rozczarowanie?

Gdy zamiast upatrzonego celu, znajdzie się „guzik". Gdy się łudziesz po kilku latach złudzeń, że to wszystko było dla zabawy i zabicia czasu.

Co jest szczytem pechu?

Zapomnieć chusteczkę do nosa, idąc na tańce. — Skok samobójczy z drugiego piętra na furę siana.

Lenaretov.



Powiadają starzy ludzie i jesce starsiejsi, ze aby się ozenić, to trzeba się popierwej zakochać albo w morgach, albo w jałówce, albo choćby w jakiej takiej chałupinie. A na ostatek to i w dzieuse zakochać się nie zawadzi. Mnie naprzykład u Pyrtalonki uzdały się i morgi, których ma styry, i jałówka z takiemi wymionami, jak u podwójnicy, no i chałupisko jesce jesce nicego, bo ze dwa lata, jak wielgiego wiatru nie będzie, pwnikiem bez obrazy Boskiej postoji. Najgorsa to juz sama ta Pyrtalonka, w której ani rus jakosik się zakochć nie mogę.

A powiadają, ze jak kochać, to trzeba kochać kuzdym kawałeckiem ciała kuzdy kawałecek ciała dzieuchy. Kochać trzeba sercem, nogami, rękami, dusą nawet i głową. Co do Pyrtalonki, to mi się widzi, ze ją juz ręcami i nogami kocham, bo jak widzę, ze ona scyrzy zęby do Walka Kuciuplatka, to mnie taka oskoma zbira z jednej i drugiej strony ręcami ją wywalić po fafule, a potem kopnąć w siedzenie, coby się jaz śniego flaki puściły. Ale sercem ani dusom jakosik się w niej zakochać nie mogę, choć mi do nich przemawiają i morgi, i jałówka, i chałupa. Widzi mi się jednak, ze i to po latach przyjdzie, bo przecie wszyćko na świecie możliwe. O Pyrtalonk ęmi się nie rozchodzi i mniejsa z tem, cy ona się będzie we mnie kochała, cy nie przed ślubem, bo po ślubie juz ja se śnią dam radę: przejadę ją kilka razy dokumentnie powrozem, to i lubienie w niej zaraz się wyrobi.

Jak z tego widać, moja cnota na powrózku od portek wisi i nie wiada, co się stać moze. Latego tez jestem na wszelką ostatecność przygotowany i w sąsieku chowam na tę okolicność pół kwarty okowity i jak się ino zmiarkuję, ze bez Pyrtalonki zyć nie mogę, to w te dyrdy do niej polecę na zaloty.

To juz chyba z tej gorącości, jaka nie wiadomo skąd w tamtem tygodniu do Psiej Wólki przylazła, człek se głowę takimi głupstwami nabija, jak małzeństwo. I po co mu to, jakby to ni mozna było bez baby zyć. Jezeli człek moze bez niej wytrzymać dwadzieścia i trzydzieści roków, toby wytrzymał i dalej, gdyby go dzieuchy do zeniacki nie kusiły. Ale te psie pary tak wam potrafią ślipiami przebierać, ze w człeku wątroba się burzy i gotów najwięksy grzych śmiertelny popełnić. Albo ja to zreśtą będę ostatni!?

Co do ozeniacki to tam jesce nie taka wielka śtuka; głupsiejsi się zenili, a nikt ich z kościoła nie wyrzucił. Ale co potem, to juz gorsa rzec i nie kuzden wszyćko potrafi. Choćby takie wesele! Jak powiadają starzy, jak zreśtą i ja sam to widział, pan młody, choćby miał i osiemdziesiąt lat, musi na swojem weselu tańcować. A to juz nie kuzden potrafi. Raz, a było to z osiemnaście lat temu, jak ciotecna siostra łujkowego stryka wydawała się za stryjecnego brata ciotecnej siostry, próbowałem se i ja hulnąć na ich weselu. Ale bogać tam! Inom wam stanął przed skrzypkami i tupnął se nogą, takem roztarasił palec u nogi Maryśce, co to u swakowego stryjecnego brata ciotecnej siostry słuzyła. Maryśce pazur u palucha ślaz, mnie wyrzucili za drzwi, a jesce potem gospodarz Maryścyn musiał la jej pędraka krzciny sprawiać. I taka to ino korzyść jest z hulnia!

Zeby to jesce hulało się po dawnemu, po nasemu! Taką wściekłą polkę „ojra, ojra!", albo krakowiaka, cy inksy katolicki taniec, toby tam jesce moze człek potrafił, ale na dzisiejse połamańce to człek ani w głowie ani w nogach rozeznania nie ma. Drzewiej jak skrzypki zagrali polkę, to człek se tupnął, podskocył, dzieuchą koło siebie zawinął, jaz się jej zwierciadło na świat pokazało i była uciecha, a dziś ludzie wymyślili jakiesik simy, stejstustrony, i inkse pieruny, to człek ani nie wie z której strony dzieuchę ułapić i jak nią obrócić, aby się nie przetrąciła. Zreśtą i jak tu takiego cudaka ze siebie robić! Przeciem ja widział takie modne tańce, to ci, co je tańcyli, wyglądali tak, jakby ich choroba świętego Wita chyciła i niemi kręciła.

Ale powiadają: raz kozie śmierć i co ma wisieć, to nie utonie, więc i mnie musi na koniec przyjść i ozenić się trzeba będze. Powiadają, ze kuzden za swe grzychy jak nie na tem, to na tamtem świecie odpokutować musi, więc kiedy mam pokutować, to wolę juz na tem świecie, aby mnie potem baby w grobie nie przewracały, albo djabli w smole nie smazyli.

Wprawdzie Bartek od Furgaca powiada, ze juz lepsa pokuta u djabłów na tamtem świecie, jak u baby na tem, bo djabła przynajmniej święconą wodą od siebie odzenies, a na odpędzenie baby nikt jesce zadnego lekarstwa nie wymyślił. Ale niech on se tam gada, co chce, ale ja wolę juz pokutę na tem świecie, abym na tamtem miał niezakłócony spokój.

Bez to, jk powiedziałem, cnota moja wisi na włosku, i moze nim parę lat upłynie będę juz dokumentnie obabiony. Na weselisko sprosę wszyćkich piętnaście tysięcy Cytelników „Roli", a jak kuzdy z nich da choćby po dwa złociaki la Pyrtalonki na cepiec, to będę miał trzydzieści tysięcy złotych, za te pieniądze kupię se folwark, a la mojej Pyrtalonki kapelus i choćby jedną jedwabną pończochę, a sobie dwie pary butów, cobym i w lecie boso nie chodził, bo to la pana dziedzica nie wypada.

Wesela zadnego takiego z jedzeniem i z piciem sprawiał nie będę, bo to kostuje, a la gości wyśtarcy, jak jem muzyka zarzępoli i trochę se flaki przetrzęsą. Będzie się kto chciał napić, to u Mośka dostanie.

Wydziedziczona.

Powieść sensacyjna opracowana dla „Roli“ przez K. I..

68. Przedśmiertne kazanie.

Mary przystąpiła spiesznie do Nordena.

Zaszumiała suknia, oglądnął się.

— Mary? Tyś to jest? — zawołał wzruszony wielce.

Zdawało mu się, że mara drugiej żony stanęła przed nim...

— Tak, jam jest! — rzekła głosem lodowatym. Przyszłam rozmówić się z panem, policzyć się. Mamy przecież rachunki pewne ze sobą. Nim się życie pańskie skończy, nim się spełni miara grzechów pańskich... Chcę stanąć jeszcze raz oko w oko przed zabójcą mojego ojca...

— To nie było morderstwo Mary! To czysty zbieg okoliczności, który sprowadził katastrofę. Namiętność karciana doprowadziła mię do zupełnej ruiny.



(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegrałem olbrzymie sumy. Poszedłem nocą do starca, do twojego ojca. Dostałem się do jego pokoju sypialnego. Opowiadam mu swoje nieszczęście, a on całą zlewą oburzenia na mnie! Prosiłem, błagałem, — niechaj zlituje się jeszcze raz, ostatni raz, poprawię się... Ale jutro, powiadam mu, muszę spłacić długi honorowe...

— On na to chwycił za broń, chciał mnie zmusić do odejścia, wtedy wściekły rzuciłem się na niego i przebiłem go sztyletem...

— A więc przyznajesz pan dzisiaj dopiero, żeś zabił mojego ojca... To może winien temu sam ojciec, żeś go pan zamordował? — zawołała Mary. Czy nie dosyć było złodziejstwa, że pan poprowadził mnie do ołtarza pod fałszywem imieniem? Czy nie miałeś pan żony aniesko pięknej i czystej?

— Tak masz słuszność Mary... Nie powinienem był nigdy opuścić Izy. Żałuję tego dzisiaj. Ale już po niewczasie. Byłbym nigdy nie stoczył się w taką przepaść, gdybym ją miał u swego boku...

— Za nieszczęśliwą Izę odpokutujesz pan w czeluściach piekła... A mnie szczęścia nie zniszczyłeś demonie podłości bezgranicznej? Czy ja nie obciążę ci sumienia grzechem wielkim?

— Skąd ty przychodzisz do porównania siebie z Izą? — rzekł lekceważąco Norden. Z tobą ożeniłem się tylko dla bogactwa! A ona myśli, że...

— Nędzniku! Złodzieju! Potworze piekielny w ludzkim ciele! Musisz słuchać!... Bo cierpieć musisz! Mary nadchodzą! Drżyj!

— Oto wesołe dziecię Saint Artaya z Nowego Orleanu, patrz nędzniku kula tkwi w niewinnej piersi, to twoje dzieło, gdyż hańby nie mogła swej przeżyć; dalej młody i pełen nadziei Talor i matka jego, oboje skończyli przez ciebie... i wiele, wiele innych potwornych twoich zbrodni, których nie sposób wyliczyć...

Chciała już wyjść z jaskini, zakończyć przeklęte odwiedziny na progu śmierci swojego męża. Ale przypomniała sobie jeszcze jedną rzecz.

— Mam jeszcze pytanie od Izy.

— Gdzie ona? gdzie Iza, — zapytał Norden.

— Iza w pobliżu. Ale pan jej nie zobaczysz więcej. Pomyśl pan o niej w tej chwili z rozczuleniem i powiedz, gdzie jest jej córka Liddy? Wyrodny ojcze oddaj biednej matce dziecię!

— Nie wiem, gdzie Lida! Nie słyszałem o niej dawno!

Teraz Mary opuściła jaskinię i pozostała w pobliżu wraz z Janikiem, ciekawa losu Nordena.

Mestica wyszedł z jaskini.

— Widzi sennora, jakiego dzikiego konia wyprowadził mestica, — szepnął Janik do Mary.

Mary zdrętwiała z przerażenia...

69. Koniec Nordena.

Józef przywiązał stepowego rumaka do skały. udał się do jaskini, gdzie leżał Norden.

Mary i Janik słyszeli każde słowo, gdyż stali w pobliżu.

— Byłem niegdyś sługą sennora, — począł Józef głosem namiętnego oburzenia. Byłem człowiekiem, który żył z rabunku i kradzieży. Ale moje zbrodnie gasną przed zbrodniami sennora... Myślisz pan, że zapomniałem o chłoście biczem? Nie, mylisz się pan bardzo! Znam na to jedną karę — śmierć sennora...

— Głupcze jakiś! Kpię z twoich gróźb!

Mestica schylił się. Podjął bezbronnego Nordena jak lekką rzecz jaką z ziemi.

— Puść mnie drabie! — zawołał Norden, wijąc się. Co chcesz uczynić?

Straszliwy wróg nie rzekł ani słowa. Powlókł swojego dawnego pana do skały, gdzie stał uwiązany rumak.

— Co on czyni ze zbrodniarzem? — zapytała Mary.

— Wiąże go do konia — widzi pani — teraz przywiązuje go do grzbietu zwierzęcia, tak, że zwisa głowa... To straszne — potworne...

— Boże! Boże! Chodźmy stąd, panie Janik, szybko!

Mestica przywiązał wijącego się napróżno zbrodniarza do konia, kiedy Mary przystąpiła doń i krzyknęła.

— Na Boga! Co pan chcesz z nim począć?

— Chcę mieć zemstę. Bił mnie jak psa — zginie jak pies. Nie oddam go nikomu za miljony. Mój on, mój on! Odwiązał konia.

— Ratuj mnie Mary! Nie zostaw mnie w ręku tego człowieka! Ratuj mnie! — wołał Norden.

— Oddaj go pan policji!

— Mary — pomóż mi! — Ja —

Ostatnie słowa wołającego z rozpaczą o pomoc zaumarły w okrzyku śmiertelnej trwogi.

Mestica uderzył odwiązanego konia w straszliwy sposób, zwierz poleciał jak strzała pośród jasnej nocy księżycowej.

— Mój Boże! Coś pan uczynił? — zawołała Mary. Ratuj go pan jeszcze! — krzyknęła rozpaczliwie. — Nie daj mu pan zginąć w tak straszny sposób.

— Zapóźno! — zawołał Janik, drżąc ze wzruszenia. Tego konia już nikt nie dopędzi.

— Mary — pomocy! — słychać było z dali...

To Norden wołał... Ostatni raz otwarły się jego usta do świata, do ludzi...

— O, Wszechmocny!... Straszny los, którego miała dożyć moja przyjaciółka między Nawajami, spotkał nieszczęśliwca między swoimi.

Janik obejrzał się za mesticą.

Ale tego już nie było, — zniknął...

— Proszę panią do powozu. — Jemu już nikt nie pomoże...

Mary dała się zaprowadzić do powozu i tam upadła jak martwa na poduszki, po przeżytych wrażeniach... Postanowili zamilczeć przed Izą o strasznym końcu Nordena i wrócili do miasta.

— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Parę dni potem jechał Janik z damami miastem. Za moment stanął powóz przed budynkiem sądowym. Wezwano bowiem obie damy do przesłuchania.

Mary milczała o losie Nordena.

I Janikowi udawało się dotychczas milczenie wyśmienicie...

Izie powiedziano, że nie można było zbrodniarza znaleźć. Tak więc sądziła Iza, że jej godny małżonek umknął do Europy, lub gdzieindziej poszukał pola dla swojej działalności zbrodniczej...

Obie damy znalazły się na długim kurytarzu. Tam oczekiwał je sługa sądowy i zaprowadził do komnaty w której miała odbyć się rozprawa.

Właśnie przyprowadzono parę tych robotników, którzy spowodowali byli tumult i naturalnie, umożliwili niechcący ucieczkę Nordena.

Dostały się im gorzkie słowa od sędziów.

Wtem zjawił się sługa sądowy. Przystąpił do sędziego śledczego.

— Za czem pan tutaj? — Nie przeszkadzaj pan nam! — ofuknął urzędnik sługę.

— Właśnie zgłosił się człek jakiś, który powiada, że posiada wiadomości o Nordenie.

— Nie może być! A to niech wejdzie!

Za chwilę otwarły się podwoje sądu i zjawiła się dosyć niepokaźna figura.

Był to Józef Mestica.

— Masz pan wieści o zbiegłym zbrodniarzu?

— Pewnie, — odparł vaquero niby zakłopotany nieco. Widziałem go nawet! Umilkł.

— Czegóż milczysz? Gdzie go pan widziałeś?

— O, niedaleko stąd, — rzekł flegmatycznie.

— Ba, mówże pan gdzie? Wyślemy wojsko i policję i schwycim go z pewnością, — wołali urzędnicy chórem.

— Nie trzeba! Jam go sam przyniósł ze sobą! Poczem postąpił ku drzwiom wziął z krzesła węzełek i pomału rozwijał. Rozwinął go i...

Głośny okrzyk wydarł się z ust urzędników... Przed nimi leżała głowa mężczyzny... Śliczne niegdyś rysy oblicza Nordena zmieniły się w sposób straszliwy — odstręczający... Oczy były napół otwarte...

— Gdzieś pan znalazł tę straszną głowę?

— W rozpadlinie niedaleko Tucsonu. Tam zgraja wilków pożerała ciało jakiegoś mężczyzny...

Aby upewnić się, czy to jest głowa Nordena, wezwano Mary i Izę, dla poznania tożsamości.

Gdy obie kobiety zobaczyły głowę ową, padły zemdlone...

Wyniesiono kobiety nieprzytomne z sali, poczem po udzielonej pomocy, odjechały do hotelu...

Mesticę zaś wynagrodzono kwotą 10.000 dolarów, za dostarczenie zwłok zbrodniarza...

I tak dokonał swej zemsty, człowiek zwierzę, łaknący krwi i otrzymał nagrodę...

70. Do Europy.

Był posępny, dżdżysty, zimny, burzliwy ranek grudniowy.

Pyszny ekwipaż jechał wybrzeżem pysznej zatoki nowojorskiej.

Zatrzymał się na placu lądowania wielkich parowców oceanu.

Z powozu wysiadły dwie damy i pokaźny pan.

Poznajemy w nich naszych dobrych znajomych, Rogersa, Mary i Izę.

Po długiej kilkutygodniowej podróży dostała się Iza ze swoimi towarzyszami i miała teraz odjechać do Europy, do ojczyzny.

Tam u wybrzeża stał na kotwicy przepyszny parowiec salonowy, na którego pokładzie oczekiwał ich Janik z Junoną. Przybyli tutaj oboje bardzo wcześnie.

Iza ujęła Mary ręką za szyję i płakała gorzko. Mary przejęta, ściskała przyjaciółkę i powiedziała jej, że jedyną nadzieją i ufnością jej, jest to, że ms. Rogers będzie się opiekował Izą w chwilach niebezpieczeństwa...

Iza, zapłoniła się spojrzawszy w stronę imponującego mężczyzny, który rozmawiał w pewnem oddaleniu z Janikiem.

Dotrzymał słowa. Jak postanowił, tak też uczynił. Wziął urlop na parę tygodni, aby odprowadzić Izę do rodzinnego jej domu.

— Musimy się pożegnać Mary, — szepnęła Iza. Ale ja wrócę, wrócę do ciebie wiosną, na długo!

Mary płakała, jakby jej serce rozdzierało się. Przycisnęła Izę do serca, jak gdyby jej nie chciała nigdy wypuścić od siebie.

Wreszcie wyrwała się z objęcia. Podała rękę Janikowi i Junonie i zwróciła się do Rogersa, który ze wzruszeniem przyglądał się scenie pożegnania.

— Żegnaj pan, mrs. Rogers — czuwaj pan nad moją Izą.

Od steru odezwał się straszliwy szum. Olbrzymia śruba okrętowa zaryła się w fale, biała piana ukazała się na powierzchni wody. Most do lądowania ściągnięto.

Iza stała u balustrady. Kiwała białą chusteczką, gdyż tam na brzegu stała Mary przy swoim pysznym powozie i patrzyła za swoją przyjaciółką.

* * *

Lotną myślą przenieśmy się z okrętu ponad lądy i morza.

Pośród gór niewysokich, stoji zamek Wielhorskich. Hrabia Wielhorski, chodził z wnuczką na rękach i pokazywał jej błyszczące kwiaty na szybach.

Wtem wszedł Jan i przyniósł torbę z listami.

Hrabia otworzył torbę. Ucieszył się, aż zadrżał na całem ciele. Oczy jego zobaczyły jej — Izy pismo.

Upadł z dziękczynieniem na ziemię i modlił się gorąco dziękując Bogu za odzyskane dziecko. Iza wracała...

71. Dalsze dzieje.

Na dworcu kolejowym miasteczka widać ruch niezwykły, ciągły przejazd gości.

W małych domach praca. Nie wyjrzy nikt przez okno na dwór, na samą drogę, aby zobaczyć kogo tam unoszą dzwoniące saneczki.

Na koźle siedzi mężczyzna wraz z kobietą otuloną po samą głowę, której widać tylko twarz czarną... Jest to wierna Juno wraz z Janikiem. W głębi zaś sanek siedzi Iza wraz z Rogersem.

Na twarzy Izy, widać głębokie wzruszenie. Wszak za chwilę ma zobaczyć ukochanego ojca...

Już sanki wleciały na dziedziniec zamkowy. Wtem zjawiła się służba na schodach. Ze zdziwieniem patrzyli na pokaźnego pana Rogersa, który zażądał widzenia się z hrabią Wielhorskim. Później spostrzegli Izę. Radość zapanowała szalona.

Do hrbiego podążył sam Rogers, aby przygotować starca do radosnego wzruszenia...

Drzwi komnaty otwarły się...

Pomału, pocichu stanęła na progu postać młodociana kobieca z czarnym stroju i wyciągnęła do hrabiego ramiona.

— Ojcze! Tatku drogi! Jedyny — Kochany!

Starzec, choć przygotowany, nie mógł przenieść silnego wzruszenia i padł nieprzytomny na ziemię.

Gdy wrócił do przytomności, u nóg jego klęczała Iza.

Hrabia, uszczęśliwiony ściskał swoje jedyne, umiłowane dziecko, poczem zwrócił się z gorącą podzięką do pułkownika Rogersa, biorąc go w swoje ramiona i nazywając go swoim przybranym synem...

— — — — — — — — — — — — — — — — — — —

Hrabia wspólnie z Rogersem, przygotowywali niespodziankę dla Izy. Oto mieli pokazać jej umiłowaną Liddy dla której tyle nieszczęść przeszła...

Iza znajdując się w domu rodzinnym przy boku ukochanego ojca i mając obok siebie człowieka drogiego, pułkownika Rogersa, myślami swemi błądziła daleko za swoją jedyną Liddy...

Tęskna zaduma pokryła jej piękne lica. Wtem dwoje miękkich ramion dziecinnych ujęło biedną matkę za szyję.

Iza, myślała, że popada w błogi sen i modliła się do Stwórcy, aby nie obudziła się nigdy...

Potem przekonawszy się, że to jest rzeczywistość, padła na kolana i gorąco dziękowała Bogu za cud w odnalezieniu dziecięcia.

Teraz z gorącem uczuciem, zwróciła się do Rogersa i prosiła go, aby pozostał przy nich na zawsze, jako jej mąż, bo już przeszkoda zniknęła, będąc sama szczęśliwą, z odnalezionego dziecka, pragnęła i jego wynagrodzić za tak długą i wierną miłość...

Rogers powrócił tylko do Ameryki uregulować sprawy majątkowe i służbowe, a później został szczęśliwym małżonkiem ubóstwianej kobiety.

Juno i Janik, jako małżeństwo pędzili szczęśliwy żywot u ukochanej hrabianki...

KONIEC.

Los Janka.

W ślicznem położeniu stała chatka starego Jakóba, najbogatszego gospodarza we wsi, lecz piękniejsze jeszcze było gospodarskie obejście jego.

Pod ciemną smugą lasu stał bieluchny domek dwuizbowy, a w tyle za nim obora, a wokół sad pełen drzew owocowych, starannie prowadzony, w oborze zaś dwanaście krówek porykiwało i rżały dwa koniki kare, a na podwórzu zaś stary Jakób, opatrywał i naprawiał inwentarz, potrzebny do uprawy roli i prowadzenia gospodarstwa. A niwy jego kochane niwy, te niwy pachnęce, które tyle lat uprawiał ,piastował w swych rękach ich glebę pulchniutką. Z wielkim mozołem o głodzie i chłodzie stary Jakób ściskał grosz do grosza, od ust sobie odejmując, aby dokupić do swej ojcowizny jeszcze coś, a ciągle coś, aż w tej pracy w tym mozole lata mu zbiegły i nasz Jakób ani się spostrzegł, jak starość nadeszła i włos zbielał na głowie.

Pojąwszy żonę, żył z nią szczęśliwie w zgodzie i miłości długie lata. Aż nadszedł czas, że stary Jakób odwiózł ją na cmentarz, opłakując gorzko, lecz i on upadał na zdrowiu coraz bardziej, aż w niedługi czas poszedł i sam przed tron Przedwiecznego.

Jedyny syn jego, Janek, objął spuściznę ojcowską, a mając gospodarkę, oglądnął się i za gospodynią. Wkrótce pojął ładną, zgrabną dziewczynę, ale kobieta to była sprośna, chciwa zabaw i strojów, a do pracy nieskora. Toteż gospodarstwo Janka poczęło upadać, a zmartwiony Janek poszukał pocieszenia niestety w szklance Abrahama. Zaszedłszy tam raz tylko, został już na stałe pijakiem, pracę zaniedbywał, a w ślad za tem gospodarstwo upadało, długi wzrastały, a z tem wszystkim i głód i nędza zagościła do jego chaty. Wreszcie doszło do tego, że wierzyciele zabrali swoje, a co pozostało, sprzedał Janek, a za uzyskane stąd pieniądze wyjechał do Brazylji, szukać szczęścia za morzem, choć go w własnej ojczyźnie mógł znaleźć na swoich rubieżach.

Nad sinemi falami Atlantyku, pod cieniem olbrzymiego drzewa, siedział jakiś mężczyzna z twarzą ogorzałą od spiekoty palącego słońca południa. Tęsknym wzrokiem swym spozierał w dal, oczekując z upragnieniem chwili, kiedy zarobiwszy coś grosza, będzie mógł wyjechać do swej ojczyzny.

Do ojczyzny! Tak do tej ziemi drogiej, ukochanej, gdzie ujrzał świat Boży; chciałby ujrzeć tę rolę czarną, skropioną potem ojcowskim, a krwią dziadów przesiąkniętą, te gaje zielone z ptaszętami w ich gałęziach, tę rzeczkę wijącą się wśród zieleni pól i kobierców łąk prześlicznych, z rozchoworem sitowia i brzezin nadbrzeżnych, ten kościółek Boży, rozlegający się nabożnemi pieśniami, z kapłanem siwym, jak gołąb, odprawiającym swe modły wśród dymu wonnych kadzideł, te dzwony poświęcane, niosące to śliczne echo wezwania do podniesienia swych serc ku Bogu w nabożnej modlitwie, tę chatę pochyłą swych ojców, której progu niegodzien przestąpić, on, biedny, wygnaniec losu.

— Ach, gdyby choć godzinkę tam być, choć raz w swem życiu ujrzeć cię wiosko moja i to słoneczko, unoszące się nad polami ojców i braci mych, a potem złożyć swe kości na wieczny spoczynek w świętej ziemi rodzinnej!

I z pod czarnych brwi zaczęły kulać się po ogorzałej twarzy łzy, łzy bolu z tej tęsknoty niezmiernej a pierś faluje pod nawałem westchnień, a dusza się wyrywa tam do zielonych niw nad Wisły modrą wstęgę.

Dzień jesienny zbliżył się ku końcu. Z niebios zaczął spływać mrok, a z nim błogosławieństwo Boże i cisza nocna przerywana szelestem liści lecących z drzew. Wiatr chłodny dął przeraźliwie świszcząc w gałęziach drzew przydrożnych, a z czarnych ołowianych chmur sypały zwolna płatki śniegu.

W taki to wieczór szedł jakiś podróżny drogą pełną błota, szedł ze znużeniem malującem się na jego ogorzałej twarzy, lecz szedł żwawo i lekko, bo choć rzewno mu było w duszy, lecz jakoś lżej w sercu, boć

po długich 20 latach stąpał po świętej ziemi rodzinnej. Już dochodzi do wioski, już krzyż przy drodze widnieje z Chrystusem na nim rozpiętym, wyciągającym swe ramiona, jakby cały świat chciał pod swe zbawcze zamiona przytulić, a zbolałe ustą zda się mówią słodko:

— Chodźcie do mnie wszyscy, którzy obciążeni jesteście, lub spragnieni, a aj- was ochłodzę!

Przypada wędrowiec do krzyża ostatkiem sił obejmuje go rękoma i trzęsąc się od płaczu mówi:

— O Chryste, wybacz, Chryste zmiłuj się! O dzięki Ci stokrotne, a teraz dozwól umrzeć mi w tej wiosce wśród swoich!

A gdy dzwon z wieży kościelnej ozwał się swem potężnem echem, nasz wędrowiec jęknął:

— O Jezu! Jezu!

To były jego ostatnie słowa.

Nazajutrz ludzie, spieszący na ranne nabożeństwo, znaleźli jakiegoś mężczyznę nieżywego pod krzyżem, w którym rozpoznano Janka Jakóbowego, niegdyś bogatego gospodarza, dziś tułacza bez dachu nad głową, pod krzyżem zmarłego. I dzwoniły mu dzwony kościelne i lud nabożnemi pieśni odprowadził biedaka na wieczny spoczynek. A tam smutna brzoza płacząca zawodziła nad losem nieszczęśliwego.

O, losie, losie człowieka!

Miesiączek Wawrzek.

Palenie tytoniu.

Palenie tytoniu, pomimo ciągłych podwyższań ceny na niego, jest, niestety, bardzo rozpowszechnione. Palą starzy, a co gorsza, palą i młodzi, nie bacząc na szkodliwość palenia. Głównym szkodnikiem w tytoniu, używanym do palenia w rozmaitych postaciach, jest nikotyna. Z trucizny tej mała tylko jednak cząstka przedostaje się do organizmu. Jeżeli tytoń pali się przez cygarniczkę lub w fajce, natenczas nikotyna osiada na ściankach tychże, a sama ilość nikotyny, przechodząca do organizmu ludzkiego, jest tak nieznaczna, że bardzo wielkiej szkody zdrowiu nie może uczynić; tylko jeżeli ktoś przez lata całe pali wiele tytoniu, narazić może organizm na szwank poważniejszy.

Znane objawy zatrucia przy pierwszej próbie palenia pochodzą z systemu nerwowego, są jednakże zupełnie nieszkodliwe. Cięższe zatrucie przynieść może nikotyna, zwłaszcza organom oddechowym, działając na centrum oddechowe z początku podniecająco, później ubezwładniająco. W drugim dopiero rzędzie odczuwa skutek nikotyny serce, naczynia krwi i cały aparat trawienia.

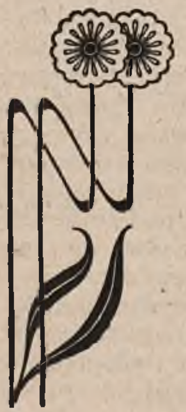
Badanie zatrucia nikotyną nastręcza lekarzowi duże trudnoci, gdyż organizmy nigdy nie przyzwyczają się do trucizny tytoniowej. Nie można bowiem, jak n. p. przy arszeniku i morfinie, dawać w coraz większych dawkach nikotyny i w ten sposób oddalić granice otrucia. Brak przyzwyczajenia jest też powodem, dlaczego u człowieka, który przestał palić, nie występują żadne ujemne z tego powodu skutki.

Jak długo nikotyna pozostaje w organizmie ludzkim, kiedy i jak organizm zupełnie się jej pozbywa, dotąd nie zbadano. Nie ulega natomiast wątpliwości, że zachodzą wypadki chronicznego zatrucia nikotyną. Gdy młodym królikom podaje się ekstrakt nikotyny — przestają rosnąć, gdy się wstrzyma dawanie nikotyny, organizm rozwija się dalej.

Pewien wiedeński profesor, lekarz, stwierdził na podstawie doświadczeń, że nie zauważył objawów nerwowych u ludzi, palących tytoń z fajki. Czy liczba chorych na nerwy z powodu palenia tytoniu się zwiększa, dokładnie skonstatować nie można, ponieważ nikotyna wywołać może wiele objawów, często jednak wywołuje tylko jeden objaw. Z zebranych przez siebie danych statystycznych, podał ów profesor następujące: na 800 badanych przez niego zdrowych mężczyzn, nie paliło 230; z 579 palących tylko 160 objawiało niedomagania. U innych 700 badanych palaczy stwierdziło badanie, jako objawy zatrucia nikotyny: bóle głowy, bezsenność, omdlenie, złe usposobienie, brak pamięci, wczesny zanik zdolności władz umysłowych. Odzwyczajenie się od nałogu palenia w większości wypadków okazywało zawsze dodatnie skutki. Najwięcej objawów zatrucia stwierdził ów profesor u palących papierosy w wielkich ilościach.

Widzimy więc, że uczeni stwierdzają złe skutki palenia tytoniu, a nikt nie stwierdził dobrych, pocóż więc palić, kiedy się bez tego obyć można?

A już do najgorszych rzeczy należy palenie tytoniu przez młodych chłopców. Ponieważ młody chłopak najczęściej nie ma pieniędzy, więc by je pozyskać, dopuszcza się zwykle kradzieży na szkodę rodziców lub chlebodawców. Chłopak taki, nosząc przy sobie zapałki, jako lekkomyślny, może spowodować pożar, a przez to narazić wielu na nieobliczalne szkody. Jeżeli już więc nie wzgląd na zdrowie młodzieży, to wzgląd na niebezpieczeństwo powinien wpływać, aby młodzież nie paliła.



Czasami...

Czasami jestem taki zasmucony
Jak ten co zgubił złotych miljony
Lub też postrada najdroższą osobę,
Po której długo obchodzi żałobę.

A czasem znowu jestem tak wesoły
Kieby mię nieśli na skrzydłach anioły
Tam, co to tylko puszczają bez grzechu...
Dusza ma wówczas pełna jest uśmiechu

A serce omal nie wyskoczy z ciała —
Lecz czemuż chwil tych jest tak ilość mała?
Wszak jabym sobie więcej mieć ich życzył
Tymczasem teby na palcach policzył.

Ignacy Blegacz.



Poradnik lekarski.

Czerwonka.

Nadeszła pora owoców, a zwykle z nią zjawia się tu i ówdzie straszna choroba, zwana czerwonką. Wprawdzie owoców tego roku niewiele, ale i te, jakie są, mogą przyczynić się do ukazania się tej choroby. Dlatego poniżej zamieszczamy parę uwag o czerwonce i jej leczeniu.

Czerwonka była znaną jeszcze przed Chrystusem, lecz bakterje tej choroby, zwanej także dyzenterją zostały poznane i wydzielone z grupy innych bakteryj dopiero w wieku 19 po Chr. przez Shiga i Kruze i opisane jako drobne pałeczki, nie posiadające ruchów i zaostrzone na końcach.

Odkrycie tej bakterji miało bardzo doniosłe znaczenie, dało bowiem broń w rękę lekarzom, którzy tylko znając wroga mogą się pokusić o wytworzenie przeciwciał, zabijających bakterje i neutralizujących wytwarzane przez nie jady. Dodać należy, że wyszukanie istotnego, wywołującego daną chorobę zarazka jest rzeczą bardzo trudną. Nie dosyć znaleźć go u chorego, lecz trzeba jeszcze stwierdzić przez szczepienie go zwierzętom, że dany zarazek właśnie to, a nie inne cierpienie wywołuje. A że przytem zwierzęta na pewne jady są odporne i zakazić ich nimi nie można, widzimy wiele jest trudności w wyodrębnieniu bakteryj i wytworzenia przeciw nim t. zw. przeciwciał.

O ile chodzi o dysenterję, to najbardziej przekonywujące doświadczenie wykonał na sobie samym prof. Jehle, który sam się celem eksperymentu zaraził pałeczkami Shiga i zachorował na czerwonkę.

Symptomaty dysenterji występują przedewszystkiem w przewodzie pokarmowym, głównie zaś jego odcinku dolnym, czyli kiszce grubej. W kilka dni po zakażeniu, po krótkim okresie ogólnej niedyspozycji, zaczyna się właściwa choroba umiarkowanem narazie rozwolnieniem, które po kilku dniach staje się tak silne, że wreszcie dojść może do 150—200 wypróżnień na dobę. Wypróżnieniom tym towarzyszą silne i bardzo bolesne parcia i bóle w okolicy kiszki grubej. Stolce są płynne, nie obfite, z domieszką krwi i ropy. Objawom tym towarzyszą bóle w okolicy pęcherza, ataki kolki pęcherzowej, brak apetytu, wymioty i czkawka. Objawy te trwają około tygodnia, wywołując silne wyniszczenie organizmu, utratę wagi, ziemistą bladość skóry, osłabienie pulsu i kompletne wyczerpanie. Temperatura waha się od bardzo wysokiej, do niższej od normy zależnie od indywidualnych własności chorego.

Ciężkie wypadki dysenterji kończą się śmiercią, lżejsze prowadzą do silnego wyniszczenia organizmu i wykazują tendencję do powikłań. Najczęstsze powikłania dysenterji są to sprawy ropne w skórze, wątrobie, płucach i mózgu. Toksyny jadowite dysenterji mogą wywołać też sprawy zapalne w stawach, nerwach i mięśniach. Najczęstszą i najniebezpieczniejszą komplikacją tej choroby jest przebicie grubej kiszki i śmierć wskutek zapalenia otrzewnej. Do przebicia kiszki przychodzi często z powodu tego, że cały proces chorobowy umiejscowiając się w ścianie kiszki, drąży w nią, daje głębokie owrzodzenia, ze skłonnością do krwotoków i przebicia.

W pewnych innych wypadkach, gdy wrzody te się goją, powstać mogą tu blizny ściągające i zamykające światło kiszki i w ten sposób wywołując śmierć wskutek zamknięcia przewodu pokarmowego, zatrucie jadami i wyniszczenie.

Prognoza dysenterji zależy od charakteru epidemji. Obecnie panująca epidemja należy do lżejszej.

Teraz zachodzi pytanie, jak się od dysenterji ustrzec? Przebieg dysenterji, jak każdej choroby zakaźnej, zależy od sił organizmu i od jego stanu. Ponieważ nie jest się nigdy w stanie przewidzieć sił i zdolności samoobrony organizmu, trzeba czynić wszystko, by nie dopuścić do ustroju zarazka chorobotwórczego. Wystrzegać się więc należy wszystkich tych momentów, które osłabiają organizm i czynią go mniej odpornym.

Momentem, który najbardziej usposabia do zapadnięcia na dysenterję są wszelkie schorzenia przewodu pokarmowego, katary jelit, chwilowa niedyspozycja żołądka, obstrukcja i inne nieprawidłowości, wszystko to sprzyja zachorowaniu. A dzieje się to dlatego, że osłabiają się przez te niedyspozycje siły samoobrony organizmu. Siły te to są: kwasota żołądka, to wydzielina trzuski i wydzielina nabłonków błony śluzowej. Gdy siły te słabną, jak to się dzieje przy wszelkich niedyspozycjach przewodu pokarmowego, przyjęty zarazek rozmnaża się i wywołuje chorobę. Na powstawanie zaburzeń żołądka wielki wpływ mają potrawy drażniące, zbyt obfite jedzenie a przedewszystkiem alkohol, który upośledza wydzielanie soków trawiennych, co sprzyja zakażeniu.

Każde zmęczenie i wyczerpanie tak fizyczne, jak psychiczne, stwarza również momenty usposabiające do zapadnięcia na tą chorobę.

Najważniejszem źródłem zakażenia jest sam chory i jego otoczenie. Dlatego najkardynalniejszym sposobem uniknięcia tej choroby jest unikanie chorego, jego wydzielin, rzeczy, bielizny, ubrania i innych przedmiotów. Pozatem obowiązuje każdego w czasie epidemji największa ostrożność w spożywaniu mleka, owoców, surowizny i wody.

Niebezpieczeństwo zakażenia się od chorego trwa bardzo długo, badania bowiem wykazują, że ekskrementy chorych na dysenterję zawierają żywe pałeczki Shiga w sześć miesięcy po chorobie. Jeszcze bardziej niebezpieczne są osoby, które przeszły tą chorobę „stojąco", nie kładąc się do łóżka, gdyż nie unika się ich, a są one przecież rozsadnikami dysenterji.

A więc w czasie epidemji obowiązuje nas jaknajdalej posunięta czystość, mycie rąk przed jedzeniem, mycie i obieranie owoców z łupinek, odkażanie jedzenia i oparzanie gotującą się wodą zastawy stołowej, talerzy, widelców, noży i łyżek.

Władze ze swej strony czynią wszystko, co można, a więc przeprowadzają izolację chorych, dezynfekcję ustępów, niszczenie ognisk zarazy, dbają o wodę, kontrolują szkoły, miejsca zebrań publicznych, produkta spożywcze, przestrzegają czystości w sklepach. *Dr. J. M.*

Wstrząśnienie mózgu. Podobnie, jak przy wstrząsie, położyć chorego do łóżka, porozpinać ubranie, dać lód lub okład na głowę, całe ciało owinąć ciepło i dać butelkę z gorącą wodą w nogi a gorczyczniki na serce i łydki. Jako środki odwodzące można postawić bańki na piersi i plecy.

KRONIKA.

Katastrofa kolejowa w Tarnowie. W niedzielę 1 b. m. rano wydarzyła się na stacji kolejowej w Tarnowie katastrofa zderzenia dwóch pociągów, która na szczęście nie pociągnęła za sobą ofiar śmiertelnych, jednak kilkanaście osób zostało rannych. Mianowicie pociąg osobowy Nr 624, przybywający do Tarnowa ze Stróż o godz. 6 25 rano wskutek złego ustawienia zwrotnicy wjazdowej na dworcu przetokowym „Tarnów Filja" najechał na pociąg towarowy, wskutek czego nastąpiło zderzenie. 6 wagonów towarowych zostało strzaskanych. Pociąg osobowy został mniej uszkodzony, mianowicie ucierpiał tylko parowóz i dwa wagony osobowe. Zderzenie wywołało wśród jadących pasażerów olbrzymią panikę. Z rozbitych wagonów osobowych wydobyto kilkanaście osób lżej lub ciężej rannych. Kierownik pociągu odniósł lekkie obrażenia. Zderzenie nie przybrało większych rozmiarów tylko dzięki temu, że pociąg osobowy jechał niezwykle powoli. W przeciwnym razie skutki zderzenia mogłyby być wprost tragiczne. Władze kolejowe wdrożyły natychmiast energiczne dochodzenia celem ujawnienia właściwego sprawcy katastrofy. Odpowiedzialni za bezpieczeństwo są dyżurny ruchu i zwrotniczy. Przeciw nim zostały wdrożone dochodzenia. Obaj ci funkcjonarjusze zeznali na swoje usprawiedliwienie, że byli przemęczeni pracą, ponieważ pełnili służbę przez 24 godzin bez przerwy.

Pożar w Tarnobrzegu. W Tarnobrzegu wybuchł onegdaj groźny pożar w domu kupca Jakóba Cweczkenbauma. Pomimo usilnej akcji ratunkowej, pożar rozszerzył się gwałtownie, tak, że ogółem spłonęło 12 domów z przybudówkami. 32 rodzin żydowskich pozostało bez dachu nad głową.

Zamordowanie księdza ruskiego. Nad granicą czesko słowacką o 28 kilometrów od Krosna jest położona wieś Ciechanie, w której grecko-katol. proboszczem był Daniel Pirog, liczący 65 lat. Onegdaj około 11 w nocy ksiądz Pirog ułożył się do snu, to samo uczyniła jego 35-letnia córka, Marja, podczas gdy żona księdza krzątała się jeszcze około gospodarstwa. W pewnym momencie księdzowa weszła do stajni, a wówczas nieznani osobnicy ją tam zamknęli, poczem weszli do domu mieszkalnego, w którym strzałami zamordowali ks. Piroga i jego córkę. Sprawcy do swoich ofiar oddali po dwa strzały. Ks. Pirog ugodzony został w pierś i lewy policzek, zaś córka jego w pierś i gardło. Strzały były śmiertelne i spowodowały wewnętrzne krwotoki. Mordercy prawdopodobnie działali z pobudek politycznych lub wykonali morderstwo ze zemsty, gdyż nie dopuścili się żadnego rabunku. W sprawie tej śledztwo w toku.

Cud na Jasnej Górze. Dnia 14 sierpnia b. r. rozeszła się po Częstochowie wiadomość o cudownem uzdrowieniu długoletniego kaleki na Jasnej Górze. Ponieważ pogłoski takie pojawiają się często, a również często okazują one się nieprawdziwe, przeto i tej jedni wierzyli, a drudzy nie. Tymczasem obecna wiadomość okazuje się prawdziwą, a cud stwierdzili po dłuższem badaniu z całą pewnością lekarze. Rzecz przedstawia się, jak następuje: Niejaki Michał Bastowiak wyemigrował przed laty do Francji na roboty fabryczne i tam prowadził rozpustne życie, wskutek którego i pijaństwa popadł w ciężką chorobę i został sparaliżowany. Kilka lat przeleżał w szpitalu, poczem rząd francuski, jako nieuleczalnego, odesłał go do Polski. Umieszczono go w przytułku w Gostyninie pod Warszawą. Przebywał tam od roku 1926. Pomimo kalectwa bluźnił przeciw Bogu i dokuczał ludziom. Aż nagle na wiosnę bieżącego roku zmienił się nie do poznania. Wyspowiadał się przyrzekł poprawę. W sierpniu prosił, aby go wysłano do Częstochowy. Prośbie jego uczyniono zadość. Dnia 13 sierpnia b. r. przybył Bastowiak do Częstochowy i tu ze stacji przez 5 godzin czołgał się na Jasną Górę. Podróż ta trwała dlatego tak długo, gdyż chory nie posiadał w nogach zupełnie czucia i, jak twierdzą świadkowie, można go było bić i kłuć po ciele, nie sprawiając mu tem żadnego cierpienia. Nazajutrz rano wniesiono kalekę do kaplicy, gdyż już nie miał sił sam wstąpić w jej progi. Nagle podczas podniesienia rozległ się krzyk w kaplicy: „Cud... cud..." Rzeczywiście Bastowiak zdrów jak rydz, wstał o własnych siłach i rzeźkim krokiem począł przechadzać się. Bastowiak został zaraz poddany badaniom lekarskim, a liczni świadkowie tego cudownego uzdrowienia złożyli swoje zeznania.

Straszna śmierć chłopca. Na tartaku parowym w Mikołowie na Górnym Śląsku w oczach kilkunastu robotników zginął straszną śmiercią 16 letni uczeń Jan Maciejczyk, który w niewytłumaczony sposób dostał się pod ostrze głównej piły i został literalnie przepołowiony. Mrożący krew w żyłach wypadek rozegrał się tak szybko, że towarzysze pracy nie mogli nieszczęśliwemu pośpieszyć z pomocą. Jeden z robotników z przerażenia zemdlał.

Wybuch granatu. W gmachu koszar w Toruniu w czasie rozbierania granatu nastąpiła eksplozja, w czasie której dwóch żołnierzy zginęło na miejscu, a kilku zostało rannych.

Djabeł w Trzemętowie. Okolica Bydgoszczy od kilku dni ma senzację. Od pewnego czasu w Trzemętowie rzekomo straszyło W domu kołodzieja Jana Siemona codzień wieczorem podobno kusił djabeł, a raz się nawet pokazał. Lecz to zdarzyło się tylko raz, w święto, a kto go widział, nie wie napewno, czy mu się nie przyśniło. Zwykle tylko wyprawiał harce piekielne, stoły i krzesła wywracał, talerze i szklanki tłukł, polanami drzewa rzucał w ścianę i w głowę. Zwykle też słychać było przejmujący świst, tupot, zgrzyty, charczenie, miauczenie i podobne głosy potępieńcze. Wkrótce cała wieś wiedziała już o pojawieniu się djabła i wieczorami przed mieszkaniem Siemona gromadziły się tłumy, żądne widowiska. Z urzędu zainteresował się sprawą sołtys gminy Trzemętowo i spowodował przeprowadzenie śledztwa policyjnego. Przybył posterunkowy i zajął miejsce w sypialni Siemonów, gdzie przez dłuższy czas czekał cierpliwie chwili, w której pojawić się miał djabeł. Wypada wyjaśnić, że w sypialni chorowitego już trochę Siemona mieszkał, prócz żony, 19-letni pomocnik Bernard Łoś, który sypiał z małżonkami we wspólnym pokoju. Krytycznego wieczoru około 10 wieczór posterunkowego zaalarmował przejmujący gwizd zbliżającego się „djabła". W mieszkaniu było ciemno, ale podejrzewający jakąś sztuczkę policjant zapalił momentalnie lampkę elektryczną i rzucił podejrzenie na Siemionową, jako sprawczynię świstu. Nastała chwila dłuższej ciszy i od tej chwili nie było już słychać świstu Boruty, widać wystraszonego elektryczną lampką. Wszczęto dochodzenia i nie trwało długo, a Siemonowa przyznała się, iż świstem i różnemi sztuczkami starała się „wypłoszyć" na noc chorowitego męża, by pozostać w towarzystwie dorodnego pomocnika kołodziejskiego. Od tej chwili w Trzemętowie już nie straszy, a cała okolica od kilku dni ma ulubiony temat do rozmów,

Mąż czy oszust. Na jarmarku w słowackim miasteczku Berekszasz rozegrała się niedawno wzruszająca scena. Żona wieśniaka Franciszka Czonki rozpoznała w jakimś przechodniu swego męża, który przed 16-tu laty wywędrował do Ameryki i tam zaginął bez wieści. Człowiek ów wyznał, że jest rzeczywiście zaginionym Czonką, że w Ameryce ożenił się po raz wtóry, ale tę-

sknota za pierwszą żoną przygnała go do kraju. Przez trzy dni trwało nowe szczęście małżeńskie Czonków, poczem człowiek ów znikł bez śladu, zabierając wszystkie rzeczy swojej żony. Czy był on rzeczywiście poszukiwanym przez żonę Franciszkiem Czonką, czy też tylko podobnym a zręcznym oszustem, pozostanie zdaje się tajemnicą.

Tragiczna procesja. W Budapeszcie podczas uroczystości ku czci św. Stefana, króla węgierskiego, w czasie procesji z relikwiami tego świętego zdarzył się tragiczny wypadek, mianowicie wobec naporu tłumu publiczności pękła w jednym miejscu balustrada, szereg osób spadło wskutek tego z tarasu. Jedna z osób doznała pęknięcia czaszki, w stanie ciężkim odwieziono ją do szpitala. Na procesji tłum był tak ogromny, że 100 osób utraciło przytomność wskutek ścisku.

Przygoda dzwonnika. Pięćdziesięcioletni dzwonnik kościoła św. Wincentego w Montpellier, artysta w swoim fachu, który na szeregu odpowiednio nastrojonych dzwonów wygrywał piękną melodję, miał tymi dniami przykrą przygodę, która o mało nie skończyła się jego śmiercią. Mianowicie udał się na wieżę dzwonnicy, ażeby zadzwonić na Anioł Pański, a skończywszy swe zadanie, schodził tak nieostrożnie, że rozbujały jeszcze wielki dzwon potrącił go, zrzucił o kilka schodów w dół, a dzwonnik rozdarł sobie przytem nogę aż do kości, naruszając arterję. Mimo, że broczył krwią obficie, dzwonnik nie stracił przytomności. Wdrapał się z powrotem na górę i pochwyciwszy sznur dzwonu, zaczął dzwonić nim, wiele sił starczyło, nie dbając już o melodję, aż wreszcie wyczerpany upadł na ziemię.



Miejscowy kanonik, zaniepokojony tem bezładnem dzwonieniem, udał się na wieżę, a znalazłszy dzwonnika nieprzytomnego w kałuży krwi, kazał go przenieść do szpitala, gdzie natychmiastowa operacja uratowała mu życie.

Pływalnie we Włoszech. W ostatnich dniach wielka rada faszystowska wydała nakaz, by w całych Włoszech, we wszystkich miastach, miasteczkach, wsiach i większych fabrykach zbudowano baseny pływackie. Sekretarz partji faszystowskiej wysłał natychmiast rozkazy pisemne do kierowników prowincjonalnych związków sportowych, by dopilnowali wykonania tego rozkazu jak najskrupulatniej. Zarządzenie to przyczyni się nietylko do podniesienia sportu pływackiego, ale będzie miało również wpływ na czystość tamtejszych mieszkańców. Wartałoby i u nas o czemś podobnem pomyśleć.

Szlachetny czyn kapłanów katolickich. W małem miasteczku litewskiem, Ramigała, wybuchł niedawno pożar, który rozszerzał się bardzo szybko i 45 rodzin żydowskich pozbawił dachu nad głową. W ogólnej panice nikt się nie troszczył o ogarniętą przez płomienie żydowską bóżnicę. Grupa księży katolickich, którzy przybyli do miasteczka na zjazd, rzuciła się do pomocy przy gaszeniu i lokalizowaniu ognia. Wśród niebezpieczeństwa, zagrażającego życiu, kilku z nich wbiegło do synagogi i wyniosło z pośród płomieni żydowskie przedmioty kultu. Zachęceni tym przykładem księży miejscowi członkowie związku młodzieży katolickiej, również rzucili się do gaszenia pożaru. W żydowskich kołach na Litwie dzielny czyn kapłanów katolickich wywołał głębokie wrażenie. Żydowska gazeta koweńska „Jüdische Stimme“ pisze: „Bohaterski czyn księży będzie przyjęty z największą wdzięcznością przez całe żydowstwo. Wykazali oni prawdziwą humanitarność i dali przykład, jaki powinien być wzajemny stosunek poszczególnych grup ludności na Litwie“. Nie wiadomo, jakby postąpili żydzi wobec płonącego kościoła katolickiego. Należy przypuszczać, że również nie odmówiliby swej pomocy, gdyż każdy obowiązany jest nieść ją w nieszczęściu bez względu na wyznanie lub narodowość.

Kara chłosty za komunizm. Moskiewska „Krasnaja Gazeta“ podaje, iż w niemieckiej kolonji Rezendam, w obwodzie Niemców nadwołżańskich, ukarano chłostą 85-ciu członków związku młodzieży komunistycznej. Według relacji pisma, młodzież niemiecka garnęła się do związku młodzieży komunistycznej, starsi zaś koloniści niemieccy przeciwdziałali temu dążeniu i zabraniali młodzieży uczęszczania na zebrania komunistyczne. Wobec tego, że zakazy te nie skutkowały, ludność kolonji odbyła zgromadzenie, na którem uchwalono ukarać wszystkich członków związku młodzieży komunistycznej, zamieszkałych w kolonji, chłostą. Wyrok ten wykonano na dziedzińcu sowietu kolonji, przyczem trzech ukaranych zmarło. Władze sowieckie zarządziły w tej sprawie surowe śledztwo. Zdaje się, że najlepszym lekarstwem na głupie zachcianki komunistyczne byłyby porządne baty.

Żydowska republika nad Amurem. Jak donoszą z Moskwy, rząd sowiecki przystał na założenie żydowskiego państwa nad granicą Mandżurji. Podobno już kilka tysięcy żydów wyemigrowało tam w celu poczynienia meljoracji gruntu, pomiarów i innych prac mających na celu umożliwienie osadnictwa. Kraj, który żydzi wybrali sobie dla kolonizacji, należy do najżyźniejszych na Syberji i nadto bogaty jest w złoża kruszców. Granice jego nie są dotychczas ściśle wyznaczone, prócz południowej, która biegnie lewym (północnym) brzegiem Amuru. Naturalnemi granicami byłyby tu pasma gór Bureja i Djuktyr, między któremi rozciąga się ta nowa Palestyna. Z większych miast leży tam Błagowieszczeńsk, który jednakże przypuszczalnie nie zostanie włączony do żydowskiej socjalistycznej radzieckiej republiki, jak ma brzmieć oficjalna nazwa tego sztucznego organizmu państwowego, który ma wejść w skład Rosji sowieckiej.

Niezwykła kobieta. W paryskiem więzieniu St. Lazare znajduje się tajemnicza kobieta, z którą władze śledcze francuskie nie mogą sobie dać rady dlatego, bo prowadzi bardzo oryginalny rodzaj strajku, mianowicie od trzech miesięcy nie mówiła ani słowa. Jak przypuszczają, jest to wdowa, nazwiskiem Patini Bava, a ciąży na niej zarzut, że skradła klejnotów na trzydzieści tysięcy franków. Od chwili jej aresztowania nikt nie słyszał nawet jej głosu. Podczas przesłuchiwań przez sędziów, prowadzących śledztwo, pozostaje wytrwale niemą, a nawet towarzyszki więzienne, którym dano instrukcję, ażeby wciągnęły ją w rozmowę, nie zdołały wydobyć z niej choćby słowa. Wobec tego wezwano do zbadania jej lekarza, który jednakże orzekł, że jest to osoba zupełnie normalna, całkiem odpowiadająca za swoje czynności i mogąca mówić, gdyby tylko chciała. Jednakże lekarz zaznaczył, że musi to być kobieta o niezwykłej sile woli, skoro potrafiła zachować

milczenie przez trzy miesiące. Wkrótce już ta tajemnicza osoba znajdzie się przed trybunałem poprawczym, ale nawet adwokat, który ma jej tam bronić, nie zdołał od niej wydobyć jakichkolwiek informacyj. Policja jest przekonana, że motywem tego dziwnego zachowania się jest miłość macierzyńska, że mianowicie kobieta obawia się skompromitować syna, który rzekomo służy w wojsku.

Sześciu braci księżmi. W kościele Sacre Cuer de Lille, w Paryżu, odbyła się niedawno niezwykła uroczystośćź okazji mszy prymicyjnej księdza Józefa Bosquin. Oto jednocześnie ze świeżo wyświęconym kapłanem w tym samym kościele odprawiło mszę pięciu jego braci-księży, którzy specjalnie przyjechali do Paryża na uroczystość pierwszej mszy swego najmłodszego brata.

Wypadek na polowaniu. W czasie polowania w dobrach b. cesarzowej Zyty, jej syn arcyksiążę Feliks postrzelił przypadkowo hr. Arenav de Lorgvegeiz, ciężko go raniąc.

Wojna panien z wdowami. Kilka angielskich organizacyj kobiecych, zrzeszających młode dziewczęta, wniosło zbiorową petycję do rządu o wydanie ustawy, zakazującej wdowom na okres 5 ciu lat wstępowania powtórnie w związki małżeńskie, uzasadniając petycję wzrastającą stale w Anglji liczbą kobiet niezamężnych, ściśle mówiąc starych panien.

Walki w Palestynie. W Palestynie, kolebce rodzaju ludzkiego, toczą się od zeszłego tygodnia krwawe walki, które pociągnęły za sobą już kilkaset ofiar. Rząd angielski, pod którego protektoratem jest Palestyna, zezwolił żydom na utworzenie sobie w niej własnej ojczyzny Żydzi wykupili tam od Arabów znaczne obszary i poczęli się osiedlać, ale przeważnie w miastach. Na wsi żaden żyd mieszkać nie chciał, gdyż żaden z nich nie chciał się trudnić rolnictwem. Masowy napływ żydów do miast nie spodobał się Arabom, wskutek czego szukali sposobności, aby otwarcie przeciw nim wystąpić. Okazję do tego dał im spór o „Ścianę płaczu", która okala miejsce, gdzie dawniej stała słynna świątynia Salomona. Świątynię tę, jak wiadomo, zrównali z ziemią Rzymianie, a Arabowie po zdobyciu Jerozolimy wznieśli tam piękny meczet Omara, który jest jedną z największych świętości muzułmańskich. Żydzi, którzy stale modlą się przy „Ścianie płaczu", zawadzali Arabom, zdążającym do meczetu Omara. Z tego powodu przychodziło już niejednokrotnie do swarów i bójek, które wreszcie przemieniły się w otwartą walkę, która obecnie przybrała rozmiary groźne. Po obu stronach padło już paręset trupów, a że oddziały angielskie są niewystarczalne dla stłumienia rozruchów, komisarz brytyjski wezwał już na pomoc eskadrę angielską, stacjonowaną w Malcie. Zanim ta pomoc nadejdzie, wrzenie może ogarnąć całą Palestynę, bo chociaż Arabowie są źle uzbrojeni, ich liczebna przewaga jest tak znaczna, że mogą zadać osadnictwu żydowskiemu cios śmiertelny. W związku z tem żydzi urządzają po wszystkich miastach w świecie demonstracje przeciw Arabom. Demonstracje takie odbyły się w ubiegłym tygodniu i w miastach polskich, jak Warszawa, Lwów. Katowice i inne.

Handel niewolnikami. Z Jerozolimy donoszą, że rzeczoznawca Ligi Narodów Dr Meizan przygotował sprawozdanie dla Ligi o ponownym wzroście handlu niewolnikami Niewolnictwo istnieje w Arabji, Sudanie i Abisynji. Rocznie sprzedaje się przeszło 2 000 niewolników murzyńskich. W Hedżasie pobiera się nawet 300 franków podatku od każdego sprzedanego niewolnika. W mieście portowem Dżiddah istnieje targ niewolników w pobliżu konsulatów państw europejskich. Król Ibn Saud posiada sam kilkuset niewolników, którzy uprawiają jego dobra. Średnia cena za niewolnika wynosi około 200 funtów angielskich. Cena młodych murzynek jest znacznie wyższa. Cena starego niewolnika waha się między 20 i 40 funtami. W Jemenie jest niewolnictwo tak rozkrzewione, że niewolników jest więcej, aniżeli wolnych mężczyzn. Każdy mahometanin posiada przynajmniej jednego niewolnika.

Klęski żywiołowe w Indjach. Przerwanie tamy na terytorjum Kaszmiru w Indjach przybiera coraz większe rozmiary. Mieszkańcy terytorjum Sindu, położonego niżej wezwani zostali do opuszczenia swoich siedzib. Z powodu długotrwałych deszczów wezbrał również Indus, który zalał znaczne przestrzenie Kaipur i Sind. Skutkiem wylewów wybuchła epidemja cholery. Zachodzi obawa, że wylew Indusu przybierze rozmiary znanej katastrofy nad rzeką Mississipi.

Spalenie wdowy na stosie. Wbrew wydanym przez władze indyjskie ustawom i zarządzeniom, zabraniającym spalania wdów po zmarłych, zdarza się jeszcze kiedy niekiedy, że Hindusi stosują i za naszych czasów ten swój starożytny zwyczaj barbarzyński. Jak donoszą z Bombaju, niedawno w pobliżu tego miasta została spalona pewna wdowa. Po zachodzie słońca członkowie jej rodziny ułożyli wielki stos, na którym umieścili związaną wdowę. Gdy płomienie wydobyły się na wierzch i ogarnęły kobietę, nieszczęśliwa ofiara zaczęła krzyczeć z przerażenia i bólu. W obawie, że krzyk ten zwabi policję, wdowę natychmiast zdjęto ze stosu, zawinięto w prześcieradło i odniesiono do domu. Jednak policji angielskiej udało się wykryć miejsce zamieszkania rodziny wdowy i zaaresztować ją. Wdowa po kilku godzinach cierpień zmarła wskutek ran odniesionych ź poparzenia.

Miljoner i sekretarka. Wstrząsający dramat miłosny rozegrał się w pewnej willi w pobliżu Nowego Yorku, będącej własnością miljonera p. Mansfielda. Panna bardzo dobrze wychowana i z dobrej rodziny pochodząca, zatrudniona w biurze Mansfielda, przyjmowaną była w jego domu i traktowaną towarzysko na równi z innymi gośćmi. Była to dziewczyna niezwykłej urody, pochodziła z Kaukazu i nazywała się Olga Wladimirow. Co zaszło w ten wieczór między Mansfieldem a piękną sekretarką niewiadomo, dość na tem, że Olga po wspólnie odbytej wycieczce w okolice w największem zdenerwowaniu wbiegła na taras i z rewolweru strzeliła sobie w skroń. Na odgłos detonacji zjawili się przerażeni goście, a w tej chwili wbiegł także Mansfield, wyjął z rąk konającej Olgi rewolwer i celnym strzałem w piersi pozbawił się życia.

Pożegnalny podarunek miljonera. W tych dniach zwinął wszelkie interesy miljoner amerykański Ludwik Bamberg. właściciel kilku uniwersalnych magazynów w New Yorku. Bamberg ma już 74 lat i dosyć miljonów. Pragnąc odpocząć, postanowił wyjechać na wieś. W chwili pożegnania wręczył swym długoletnim procownikom sumę miljona dolarów, którą się podzielili w jego obecności. Bamberg rozpoczął karjerę w Baltimore, jako kolporter gazet. Zebrawszy kilkaset dolarów oszczędności, udał się do New Yorku i tam spostrzegł wnet, że miasto będzie się rozwijało w kierunku na New Jersey. To mu wystarczyło, by zająć placówkę handlową w okolicach, które były jeszcze puste, ale w kilka już lat płacono tam za place sumy fantastyczne. W roku ubiegłym interesy Bamberga stały tak znakomicie, że domy handlowe przynosiły mu 35,000.000 dolarów czystego dochodu. Wobec tych sum podarunek miljona dolarów był właściwie żartem starego miljonera. Jest on dotychczas kawalerem i nie posiada bliższej rodziny, tak że niewiadomo, co zamyśla robić z miljonami, które tak skrzętnie zbierał.

RZECZY CIEKAWE.

Żydzi w Chinach.

Chiny są podobno jednym z nielicznych krajów, gdzie nie istnieje wcale kwestja żydowska.

Jednak, kolonja żydowska istniała niegdyś w tym kraju. Została ona odkryta przez Jezuitów w 1707 r. w Kaj-Fong-Fu, gdzie znaleziono synagogę i cmentarz żydowski. Według napisów, odkrytych w tem mieście, żydzi przybyli do Chin za czasów dynastji Han (od 206 r. przed Chr. do 221 r. po Chr). Przypuszczają, że żydzi ci nie znali wcale Talmudu.

Jeszcze w 1866 r. spotkano żydów w Chinach. Lecz dlatego, że nigdy ich tam nie prześladowano, zostali oni całkowicie asymilowani przez Chińczyków. Już wtedy nie było gmin żydowskich: zachowali oni ledwie pamięć o swem pochodzeniu i zawierali związki małżeńskie z Chinkami; jeden z żydów był nawet kapłanem buddyjskim. Na stanowisko żydów wobec światopoglądu chińskiego wskazuje fakt przyjęcia ich przez tubylców. To też zmieszanie się ich ze społeczeństwem chińskiem zaszło bez wszelkich trudności.

Jedwabne pończoszki a włosy.

Gazety angielskie podają artykuł lekarza, w którym tenże opisuje swoje spostrzeżenia z dziedziny mody jedwabnych pończoch i oddziaływania ich na nogę kobiecą.

Lekarz stwierdza przedewszystkiem, że jedwabne pończochy sprzyjają porostowi włosów na nogach. Lekarz tłumaczy ten fakt następująco.

Włosy na ciele ludzkiem mają za zadanie chronienia go od nadmiaru światła słonecznego, jak również i od zimna.

Jak długo zadania te wypełniały pończochy wełniane, nogi kobiece nie porastały we włosy, odkąd jednak bez względu na pogodę, kobiety poczęły nosić pończochy jedwabne, przejrzyste i zupełnie nie ochraniające nóg, włosy wróciły do swojej pracy ochronnej, by dać ciału potrzebne pokrycie. Przyroda spełnia swoje zadanie w sposób zupełnie niepożądany, przez piękną połowę rodzaju ludzkiego.

Wiek zwierząt.

Często słyszy się pytanie, ile lat żyć może każde zwierzę.

A więc: koń żyje lat 25—30, krowa, wół — do 25 lat, owca 8—10 lat, pies 20 lat, kot do 15 lat. Lew 50 lat, niedźwiedź tyleż, wielbłąd 40 lat, zato słoń dożyć może do lat 100. Wilk krócej niż pies, bo 15 lat, nasz szary zajączek żyć może dość długo o ile go celny strzał myśliwego, lub zbójeckie „oko" kłusownika, albo zbrodniarza chłopca, nie zabije, bo do 9 lat. Zato piękny jeleń żyć może, o ie mu się to też uda, do lat 40. Małpa tyleż wiosen przeżyć może ale napewno nie w klatce ogrodów zoologicznych, ale w swoich ojczystych lasach dziewiczych.

Z ptasiego rodu, żyją: orzeł lat 30, bocian dłużej o lat pięć, bo 35 lat. Czapla jeszcze dłużej, bo 50 lat! a kruk — ten czarny kraczący kruk — kra kra! — krakać tak może aż 80 lat! Ma on w osobie pani papugi godną towarzyszkę wieku, która żyje cały wiek, okrągłe 100 lat! Szczygieł — szczebiotać może lat 18, a cudny nasz śpiewak, co każdej wiosny umila wieczory, co go to król Jagiełło słuchał aż do śmiertelnego przeziębienia w Gródku Jagiellońskim i w puszczach Niepołomickich, słowik, gdyby miał ochronę, opiekę przed kotami — to śpiewałby nam przez 12.

Z ryb bardzo długo żyje szczupak — aż nie do wiary, bo lat 100, a karp mało co mniej — 80 lat. Żmija nie długo, zaledwie 10 lat. Żaba od niej dłużej bo 15 lat. Pewien rodzaj jaszczurki, salamandrą zwany, 40 lat, — wreszcie jeszcze jeden mieszkaniec wody — żółw lat 120 może żyć. Widocznie wolno chodząc, nie męczy się, a nosząc swój domek na własnym grzbiecie, dobrze się wyśpi i wypocznie.

Matka roja pszczelnego żyje lat 3. Dobry nasz znajomy, świerszcz za kominem, tylko jeden roczek. Wreszcie mróweczka maleńka, wzór pracowitości żyje też jeden roczek.

Świeże truskawki w zimie.

Wiele doświadczeń dowiodło, że światło sztuczne wpływa nadzwyczaj dodatnio na wzrost roślin. Lecz dotychczas były robione próby na roślinach, pozostających w normalnych warunkach rozwoju.

W roku bieżącym inżynier ogrodnik wersalski, Jerzy Truffaut i Thurneyssen chcieli sprawdzić, czy zapomocą wyłącznie tylko światła sztucznego i w każdej porze roku, a więc i w zimie, można otrzymać takie same rezultaty, jak w lecie pod wpływem działania słońca.

W tym celu w zupełnie ciemnej halli ustawiono dwie lampy elektryczne o napięciu 1.200 wattów, obracane na poziomej ramie, przymocowanej do prostopadłej osi. Na minutę lampy dokonywały 14 obrotów.

W tej halli poprzednio robiono inne podobne doświadczenia, jak np. w grudniu 1928 r. sztucznej kultury szparagów, których nasienie zostało uznane za dojrzałe zupełnie.

Dnia 12 grudnia r. ub. ustawiono w halli skrzynie z flancami truskawek, których zewnętrzne łodygi były zupełnie zmarznięte. Po pięciu dniach już wydobyły się nowe zielone źdźbła i listki, później ukazały się kwiatki, które 26 grudnia zapłodniono sztucznie. Zawiązały się owoce, rosły i zaczęły nabierać koloru czerwonego koło 17 stycznia, a 22 stycznia już były dojrzałe. Cała ewolucja od kiełkowania do dojrzałości owocu odbyła się pod wpływem lamp elektrycznych w ciągu 960 godzin, t. j. dni czterdziestu, a więc nieporównanie szybciej, niż na świetle i cieple słonecznem.

Pod władzą kobiet.

Uczony meksykański Hernandez, który właśnie powrócił z wyprawy naukowej do wysp mało znanych, albo nawet całkiem nieznanych, które się znajdują niedaleko wybrzeża meksykańskiego, daje szczegóły bardzo barwne o obyczajach i zwyczajach na jednej z nich, mianowicie na wyspie Tiburek.

Wyspa ta jest zamieszkała przez plemię indyjskie Sera, wśród którego cała władza należy do kobiet, a mężczyźni sprowadzeni są do roli robotników i sług.

Wyspa Tiburek jest wyspą zupełnie zapomnianą, prawie że nieznaną. Niedawno liczyła jeszcze 5 tysięcy mieszkańców, a obecnie liczba ta spadła zaledwie do 420 osób, jednakże są to mężczyźni i kobiety bez wyjątku rośli, silni i piękni.

Przyczyna tego zmniejszenia się ludności i tej jej piękności, jest taka, że przedewszystkiem dzieci chore, wątłe, lub brzydkie, wytępia się bez litości. A poza tem mężczyźni z tej wyspy tłumnie uciekają i dość

często zabierają ze sobą kobiety, wyłamujące się z ogólnych reguł.

Mieszkańcy zresztą tej wyspy zachowali wielkie poczucie niezawisłości dawnych plemion indyjskich, gdyż nigdy nie byli podbici, ani przez Hiszpanów, ani przez Meksykanów i wolą, żeby ich plemię wygasło, zamiast zawierać małżeństwa z Indjanami, którzy poddali się władzy białych.

Indjanie na wyspie Tiburek są poganami, dotychczas praktykują straszne ofiary ludzkie, na które wybiera się naturalnie mężczyzn, a które kończą się ucztami ludożerczemi.

Rządy tej wyspy spoczywają w rękach jednej kobiety, której dodana jest do boku rada matron. Ta królowa, czy też naczelniczka posiada władzę absolutną życia i śmierci nad swoimi poddanymi, nawet nad kobietami, bo mężczyźni nie cieszą się wogóle żadnemi prawami, tak, że nawet jest im zabronione mieszanie się do wychowania dzieci.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

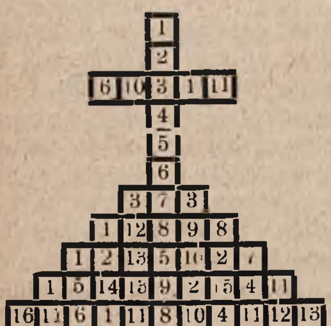
Redakcja nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Pp.: **Włodzimierz Stochel** w N. T.: Wierszyki, jakkolwiek posiadają pewne zalety, do druku jeszcze się nie nadają. Może dalsze prace będą lepsze. — **Franciszek Boryj** w S.: Notatkę o poświęceniu kaplicy chętniebyśmy byli zamieścili, ale w żaden sposób nie mogliśmy odczytać ani nazw osób, ani miejscowości. — **Alfons Czader** w S. W.: Co do kalendarza jeszcześmy nic nie zadecydowali. Zagadki Pańskie wszystkie, jak zwykle, dobre. Najlepsze byłyby jakieś oryginalne, a jakie, to najlepiej może wymyślić sam autor. Cześć! — **M. Hryc** w G.: O ile rozchodzi się o marynarkę wojenną, to najlepszych informacyj udzielą w wojskowej Powiatowej Komendzie uzupełnień. Do marynarki handlowej, jeżeli potrzeba marynarzy, to ich nie brak w miastach portowych. — **Jan Stelmach** z W.: „Podróż po dalekich krajach“ już wkrótce w dalszym ciągu zaczniemy drukować, mianowicie już w Nr. 38 „Roli“. — **Jakób Kosiarz** w St. G.: Wiersz zupełnie dobry, ale do „Roli“ za długi, w osobnej książeczce mogłaby wydać któraś księgarnia, gdyż my się tem nie trudnimy. — **Jan Żmuda** w Chicago: Och gdyby wszyscy rodacy tak myśleli, jak Pan, byłoby w Ojczyźnie naszej lepiej. Niestety, ci, którzy powinni dbać o dobro narodu, dbają przedewszystkiem o kieszeń własną. Pan wójt, o którym Pan pisze, gdyby był dbał o dobro narodu, byłby z chłopów stworzył potęgę niezwalczoną, ale cóż, przeważyła u niego prywata i za morgi sprzedał skórę chłopską. A i inni nie lepsi. Dziennik, który Pan czyta, pała jakąś dziwną niechęcią do Marszałka Piłsudskiego i dlatego rząd obecny przedstawia w złem świetle. Wprawdzie rząd ten nie jest jeszcze idealny, ale w każdym razie lepszy, aniżeli rządy poprzednie. Zasyłamy serdeczne pozdrowienia i prosimy o poparcie wśród znajomych. — **Fr. Macioł** w S. B.: Rozwiązanie zagadek z nru 33 nieco się spóźniło. Do losowania dajemy więc obecnie. — **„El-jot“** w K.: Nadesłane wierszyki wykazują duży talent, brak im jednak jeszcze zrównoważenia. Jeden lub dwa zamieścimy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Stabrawa z O)



1) Spółgłoska 2) Samogłoska. 3) Wiązanka zboża. 4) Spółgłoska 5) Spółgłoska. 6) Spółgłoska. 7) Część ciała. 8) Nieszczęście. 9) Ciastko. 10) Kształt. 11) Wyspy w Ameryce.

Litery rzędu średniego, niech podają nazwę człowieka wielkiego. Jemu pomniki stawia Polska cała, bo Jego zasługa dla ludu niemała.

3. Zagadki humorystyczne.

(Ułożył Józef Stabrawa z O.)

1) Jaki wałek nie tworzy całości?
2) Które miasto ma najwięcej raków?
3) Jakie buty są chorobą?
4) Kogo nie żałujemy, choć został bez [chleba?
5) Które nogi żyją w wodzie?
6) Które maki zjadają owies?
7) Które sole wiszą na łodydze?

2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.)

I

Wyraz pierwszy często w handlu figuruje!
Kiedy narciarz pierwsze, trzecie gdy trenuje
To często się w śniegu nakrywa nogami.
Pierwsze, drugie będą pomiędzy nutami
Republika trzecia, pierwsza w Europie
Leży, a kto nie wie, niech w atlasie kopie.
Drugie, trzecie, czwarte, zdrowie podtrzy-
[muje.
Kto mi czwarte wierzy, to niech zachoruje.
Miejsce gdzie jest całe, zawsze boli.
Szarada skończona, więc ślijcie do „Roli“
Rozwiązania, w kartce, lub liście zawarte,
Aby ktoś nie mówił, żeście drugie, czwarte.

II

Pierwsze dosyć dużo znaczy.
Drugie, przyimek tłumaczy.
Pierwsze. trzecie, sprzęty w domu.
Choć wiesz, nie powiedz nikomu.
W ziemi szukaj drugie, trzecie.
Całe na wsi mają kmiecie.

4. Bilety wizytowe.

(Ułożył Józef Stabrawa z O.).

W. Cesz

M. Lazar

R. Ciewak

E. Cupik

Eryk Drot

I. Rzepak

Litery należy tak przestawić, aby powstał wyraz, oznaczający zajęcie tych osób

Termin nadsyłania rozwiązań upływa 14 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 34 „Roli“: 1. Logogryf: Józef Piłsudski. 2. Zagadki: I. Zapalenie. II. Wągry. III. Brodawka. IV. Bezwład. V. Kura. 3. Szarady: I. Katarakta. II. Porażenie. 4. Układanki: Mikołaj, parcela, lipa, Apolonja.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: AlfonsCzader z S. W., Jan Gara z W., Feliks Ziętara z J., Tadeusz Kwerka z W., Józef Kapuściński z L., Józef Topolski z B., Michał Więcław z N., „Joga“ z P., Franciszek Macioł, Zosia Maćkowska, Różka Balówna, Franciszek Biedroń, Marja Macioł, Józef Kośmider i Walenty z S. B.

Nagrody wylosowali pp.: Feliks Ziętara z J. i „Joga“ z P.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

N a u c z y c i e l: No, czy ci ojciec sprawił baty?

U c z e ń: Nie, tatuś powiedział, że te baty sprawiłyby mu większy ból, niż mnie.

N a u c z y c i e l: O, to bardzo niedobrze!

U c z e ń: Tak, ale tatuś ma wielki reumatyzm w obydwóch rękach.

Filozof.

B a n d y t a do (profesora): Skoro się poruszysz, jesteś trupem!

P r o f e s o r: Pan się myli, mój drogi panie, skoro się poruszę, będzie to dowodem, że żyję właśnie!

Mężny.

— Trzeba wam wiedzieć, iż ja na polu walki zawsze tam się znajdowałem, gdzie było najgęściej kul.

— Gdzież więc?

— Przy wozach z amunicją.

— Czy to prawda, kumo, że waszego męża ukarano więzieniem, za podpalenie swojego domu?

— Co chcecie, moi drodzy, teraz nastały takie głupie czasy, że człowiekowi nie wolno robić ze swoją własnością co mu się podoba.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 30 sierpnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje	od 1·28 do 1·75 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·75 zł.
Woły	od 1·45 do 1·88 zł.	Cielęta	od 1·71 do 2·70 zł.
Krowy	od 0·90 do 1·72 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·58 do 2·80 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 3·20 do 3.68

Giełda płodów rolniczych

z dnia 30 sierpnia b. r.

Pszenica	41·00—42·50	Słoma długa	10·00—12·00
Żyto	25·00—25·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies	21·00—22·00	Koniczyna na-sienn. czer.	00·00—00·00
Jęczmień	25·00—26·00		
Fasola biała	125·00—135·00	Mąka żytnia	42·50—43·00
Groch zwyk.	48·00—51·00	Mąka pszen.	80·00—81·00
Siano słodk.	10·50—11·50	Otręby pszen.	19·00—19·50

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.